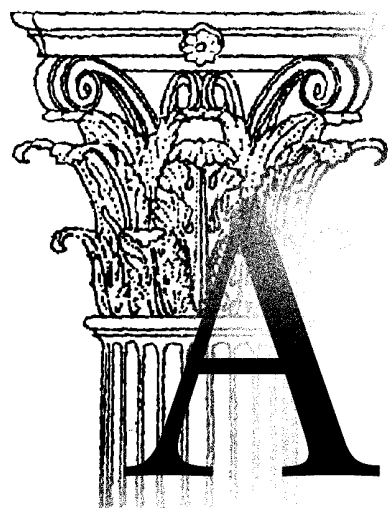
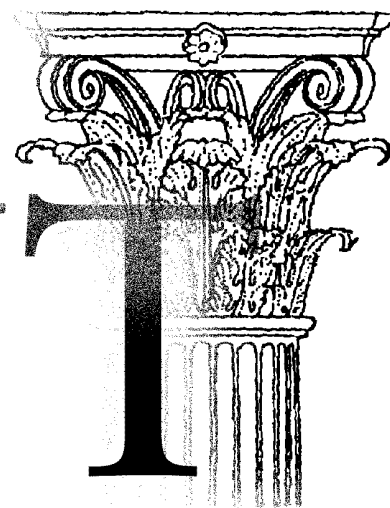




MIESIĘCZNIK LITERACKI



AKANT

ISSN-1429-9054 PKWiU 22.13.10-00.22 PCN 4902 Nr Rej. 295 Nr Indeksu 344141 NR 7 (358) Rok XXVIII LIPIEC 2025 cena 8 zł (w tym 8% VAT)

✉ e-mail: akant24@wp.pl, www.akant.org



Paweł Jasicki Maski

Artur Szczesny

Modlitwa

Niech jutro nie przychodzi przed czasem
By dziś mogło wybrzmieć do końca
Niech słowo niesie myśl
A milczenie otuchę
Niech światło wyznacza drogę
A ciemność będzie tylko wytchnieniem
Niech czujny umysł wychwyci
Każdą dobrą intencję
Niech będzie co ma być

A gdy nam już siły zabraknie
Niech się zmiłuje nad nami
Las wszechmogący
A odpuściwszy nam grzechy
Doprowadzi nas do życia wiecznego
W królestwie drzew i paproci zielonych

Stefan Jurkowski

Daleko i blisko

przez chwilę zamieszkałem w dawnych wiekach
daleko że nie słysząc nawet ptaków – złudna
cisza jakiej dzisiaj nikt już nie doświadcza

tak się to czyta:

przemieszczam się odrzucam
wszystkie pokręte dróżki
krzyki zaokienne hałasy
samochody tramwaje płonące okręty
podniosłe mowy polityków cyrk – dane
w promocji z okazji urodzenia

– przez wiecznotrwałą sekundę
obojętny zahibernowany
wtopiony w milczenie

Tadeusz Zawadowski

NOCNY SPACER

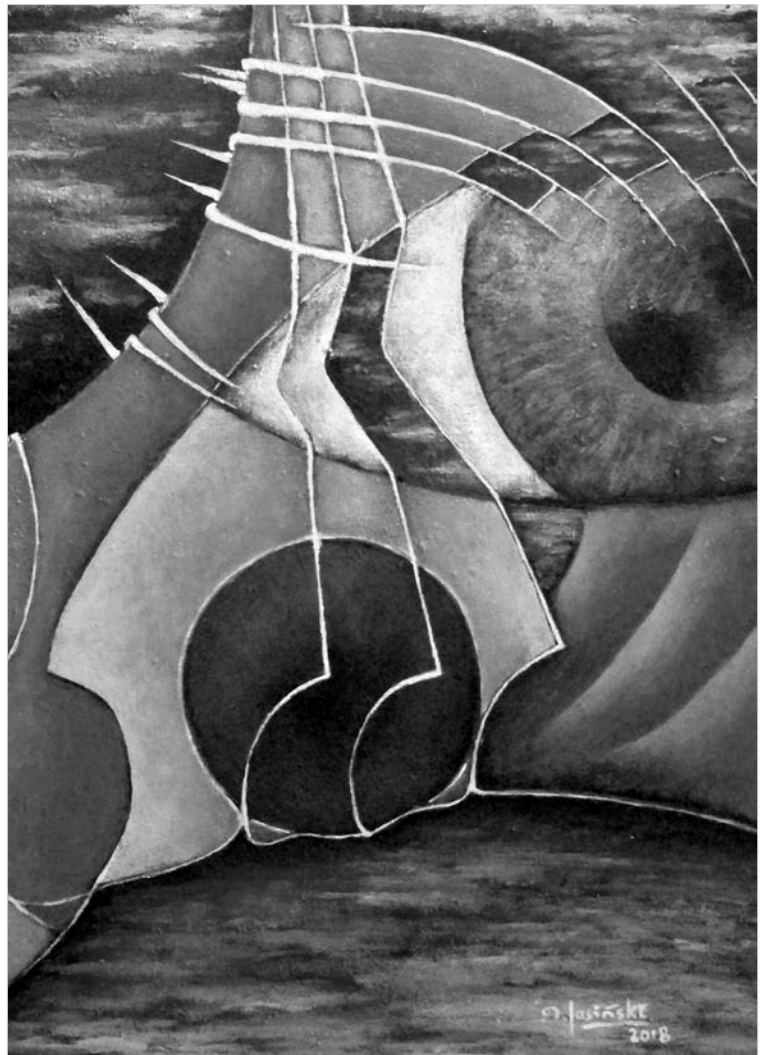
Ciemna gardziel zatoki rosła jak ocean nocą
kiedy idzie boso pośród białej piany
Kroki me cichły w wodzie
jak ptaki strudzone
głos się w piachu dławiał zawiązany w supel

Morze przed północą ma kształt martwej ryby
zacierają się brzegi wybielają ości
otwiera się przestrzeń jak nożyk składany

Wszędzie cisza jak w szal owinięta
wabi fale do brzegu
jak ptaki do gniazda

Czoło mam białe i długie niczym maszt okrętu
który niebawem przypłynie do portu
Na oczy kładę pobladłe powieki
czas się podkłada pod nie i szykuje do snu

Za chwilę północ
po niej przyjdzie pełnia



Paweł Jasiński *Przenikania*

Piotr Łączyński

czerwcową niedzielą

Jest trzecia w nocy
dzisiaj wybory
na dworze cisza
choć jak wynika
ze wskazań radarów
tuż obok
przeszła masa burzowa
czekam aż wejdą leki
czuję strach
przed powtórką
paraliżu przysennego
podobnego do tego z poprzedniej
nocy
czyli standard
twarz demona
duszenie i klucie
klucie w jądra nerki i żołądek

nie obchodzą mnie
żadne wybory
boję się
żeby nie było paraliżu
na wybory pójdę
i oddam głos
mówią że ważny
ważny nie wiem dla kogo
może gdybym głosował
na Thora Peruna czy też Zeusa
to powstrzymaliby
brudne powietrze spoza Europy
tymczasem martwi mnie
ta burza
która przeszła obok
i zostawiła suszę

ptaki włączyły się do głosu

Wiesław Marcysiak

Zdeformowany cień
Zniekształcone istnienie
Kasztan znaleziony nad rzeką
już dawno rozsechł się
przepadł

Płaskie kamienie
mkną nad dwuwymiarowością wody
powielają koncentryczne kręgi
aż zatoną i umrą pośród
kości muszli badyli mułu
opływowych kształtów
w trzecim wymiarze
gdzie jeszcze koty w worku

Toną czarnym wgłębieniem
Jak ślepe oczy posągów
Jak oczy starców
błagające o nadzieję
Leżą na dnie i patrzą

Lipiec

Taki miesiąc z legendą, ale bez historii, kwitną lipy, nie ma świąt, protestów, wyborów, raczej gorąco, dzień aż za długi, długi wyparte, nic się nie chce, a na pewno nie uda, tylko się zaszyć lub uciec za miasto, w kuszącą wodę i zieleń. Ułożyć się najlepiej w pozycji medytacyjnej, albo chociaż relaksowej, na murawie soczystej, miękkiej, pozbawionej robactwa, zwłaszcza: much końskich, meszek, komarów i nie daj boże kleszczy.

Wreszcie można wziąć do ręki książkę, ale trochę lżejszą, kryminał mniej ponury, z kilkoma zabójstwami co prawda, za to bez traumatycznych konsekwencji, ot zadźgali, zginął ktoś samotny, znikąd i jest zagadka, a potem ktoś jeszcze w tajemniczych koligacjach z tamtym i się komplikuje. W radio same sprawdzone hity, cukierkowe, w prostych tekstach, lato wszędzie się panoszy, woda sodowa uderza do głowy, wykapać się, zapomnieć, schłodzić.

Uciąć kawałek arbuza, uciąć sobie drzemkę na słońcu, opalić się bez pasków i plam od razu na kolor mlecznej czekolady i żeby nie zesła płatami skóra.

Teraz komisarz ze szwedzkiej prowincji, stary zaniedbany rozwodnik, pijący za dużo w weekendy, wpadł na trop i powiązał pewne fakty, pozornie niezwiązane. Ten nieujawniony jeszcze, zabije kogoś znowu zacierając ślady. Klimat się zagęszcza jak tłum na plaży, ale my bezpieczni w tłumie gapiów nad sinym topielcem, co głupi się upił, skoczył i zniknął. Matki zagarniają dzieci i odciągają w stronę sklepu, placu zabaw, gdziekolwiek z dala. Służby rozstawiają odbłaskowy parawan, od góry zaglądają ciekawskie drony, dając relację śmierci na żywo, gdzie pakują ofiarę w czarny worek.

Niebo, chmur bachorem, zaciąga się od wschodu brudnym welonem, zbiera się na burzę, burzy się leniwy porządek, tłum się tłumi, zbiera w kocach i manelach, kto szybciej wyjedzie z parkingu, ucieknie w przedkorek.

Na przedmieściach portowego miasta południowej Szwecji, rozgrywa się dogrywka dramatu, komisarz osaczył go, przytrzymał, udusił, lecz nie do końca, wyciągnął z omdlenia zaznaniem śmierci i wszystko w malignie potwierdził w do-wodzie, nagraniem.

A w finale grasz niepokój, na spoconym czole sterczy,
wypijemy colę z lodem, lód na wierzchu skwierczy.

Marek S.Podborski,
lirkaakantu@gmail.com

Piotr Łączyński

Rozłogi

Jest godzina
dwudziesta druga
powietrze z Rozłogów
jeszcze tli się w płucach
dziś pierwszy raz
bocian
rozwinął łopot skrzydeł
tuż nad moją głową
poczułem dreszcze

Rozłogi
to mikrokosmos
turzyce tataraki pałki
łopiany osty powoje
olchy brzozy jesiony
owady płazy i ptaki
woda dużo wody
te cząstki elementarne
budują szum i zapach

Rozłogi
gwiazdozbiór na mapie
gasnącego świata
wracam do nich
i na nowo
odkrywam samotność
tak dobrze jest bez ludzi
komary i ślepaki
rzucają na mnie swój głód

to nic takiego
to normalne

Dariusz Filinger

Cykoria podróżnik przy drodze donikąd

Dziś rano nie mam już gorączki
w ambulatorium trwogi dreszcze ustępują
gdy pozbędę się pamięci –
bylica piołun szczęśliwych

Przyjdzie kochanka ze sztucznymi lokami
z makijażem nieruchomym
z zapachem lawendy na mole
i szronem na rękach

Książę Księżycy bogaty w srebro –
jak zdobyć twą przychylność
tu gdzie śnieg parzy stopy
a przebiśniegi pełne niepokoju

Moja nieśmiała pożądlivość
i wściekła bezradność przy piątej
katarakcie wezbranego nurtu
zimowej myśli w środku lata

Sprzysiężenie martwych gałęzi
zdobywa coraz większe wpływy
tu gdzie orły mają proste dzioby
i bojaźliwy wzrok myszy

Paweł Wacek

Czy wiesz, że jeśli zaśniesz latem na łące to
skończy się gramatyka i zaczną robaki.
Zamiast deklinacji będzie
odmiana przez bezkręgowce.
Zupełnie jakby ostatnie zdania
miały zaczynać się od kropki.

Gregory Spis

Krótkometrażowe tatuaże

Katowice, lato,
sobota, godz. 19.26...

...siedząc przy stoliku
na wolnym powietrzu
pod parasolem,
na przeciwko żabki,
w restauracji Bodega,
na Stawowej, piłem piwo i...

...dwóch
wlepionych
w brud muru
ćpunów
unosilo w dłoniach
białe płomienie lodów
jak tryumfalne znicze
w kruchych kubkach czasu
z wafli
ich ciała z wafli
wchłaniają chłodny żar
ogień wycieka szybko
pali dłonie
wypala myśli
w wafłach
jak krótkometrażowe tatuaże
zanim przestanie płonąć
razem z nimi
i pozostawi lepki ślad
na murku
który łapczywie
zliże deszcz...

Stefan Jurkowski

Taki dzień

czuję ciepło słonecznego dnia
światło parzy i kipi
oczy odwracam w kierunku cienia
który pełźnie po ziemi niczym
bezszałtny stwór

widzę też twój
oparty o ścianę domu
wyprostowany jakby nie był tylko cieniem
ale pełnią cienia

czymś – kimś

ciśnienie obłoków naiwna
zieleń błękit głęboka
przepaść

o
nadlatuje stadko żółtych motyli

natychmiast chcę to wypowiedzieć

kompresja
– zapatrzenie knebluje

słowa mogą poczekać

o
tak

Dziennik czasów poplątanych (17)

28 kwietnia

Wyjazd z Bractwem Inflanckim na Litwę. Jak co roku, po Wielkanocy, kolejna wyprawa studyjna w spokojny, trochę zapomniany, północno-wschodni kąt Europy. Już na Mazurach, jeszcze nie ożywionych ruchem turystyczno-wypoczynkowym, opamiętuje mnie poczucie spokoju i harmonii. Zieleni jeszcze złocista, świeża, a w lekkim, nasłonecznionym powietrzu, pasemka chłodnego wiatru. Jak fryzura modnej dziewczyny wplatającej we włosy minitreski lub wstążeczki. Nie wiedzieć, a raczej wiedzieć dlaczego, wszystko co piękne jest rodzaju żeńskiego.

Z inicjatywy sekretarza Bractwa Romana Sidorkiewicza zwiedzamy zamki w Golubiu-Dobrzyniu, Nidzicy, Szczytnie. Uznane dla zachodnioeuropejskiej myśli technicznej, która wyparła słowiańsko-bałtyjskie budownictwo drewniane. W każdym zamku ciąg użytkowy: dormitorium, kaplica, refektarz, czyli jadalnia, wykusz ustępowy (gdanisko), który w Kwidzynie przybiera formę potężnej wieży, w Toruniu też, ale trochę mniejszej; prawdopodobnie taka była też w okropnie dziś zrujnowanym zamku w Szczytnie (Ortelsburg).

Po drodze „gubimy” jednego z Braci, który musi wrócić do domu na pilne badania lekarskie. Wkrótce zgubimy się wszyscy.

29 kwietnia

Litwa pełna zieleni i pustych, dobrych drog. Pamiętam, że jak 30 lat temu podczas

pierwszego mojego pobytu w tym kraju studenci ankietowali mnie na granicy, *co mi się najbardziej na Litwie podobało*, to odpowiedziałem, że *przyroda*. Poniedziałek niczym dzień wolny – mały ruch, mało ludzi, cisza...

Państwa bałtyjskie wyludniają się (niski przyrost naturalny, masowa ucieczka młodych za granicę). Co im dała Unia Europejska z wyjątkiem wysokich cen, powodzi tandetnych towarów i zniewalających standardów technologicznych? Gdyby nie ta dostojna przyroda, to te zunifikowane szkiełka i betony byłyby czymś bardzo drażniącym. Niemniej Litwini zawsze mieli dobrą architekturę, nawet w czasach radzieckich. Chyba najciekawsza i najbardziej naturalna jest najuboższa Suwalszczyzna litewska (Suvalkija), w której kanonicznie już odwiedzamy grób Emilii Plater (1806-1831) w Kopciowie (Kapčiamiestis).

W Birsztanach (Birštonas) rejs po Niemnie dla znudzonych kuracjuszy, do których my, Bractwo Inflanckie, z czasem zaczynamy się upodabniać. Niemniej wrażenie robi 60 kilometrów rzeki na prostym odcinku 10 kilometrów. Meandry.

W Jaszunach zagadał nas Kazimierz Karpicz – typowy szlagon, który chyba cały rok czekał na grzecznych słuchaczy. My nie byliśmy całkiem grzeczni, bo po trzech kwadransach w miarę sensownego słowotoku naszego przesympatycznego cicerone, uciekliśmy, tłumacząc się zamknięciem kuchni w wileńskim Domu Polskim, w którym mieliśmy nocować i obiadować. W jaszunskim pałacu Balińskich imitacja na imitacji. Pamiętam ruinę sprzed 30 lat; dobrze, że ze środków Unii Europejskiej gmach ten odbudowano. Nieźle nawet, ale wewnątrz można było wyposażyć staranniej.

30 kwietnia

Wilno ostrobramskie, czyli religijno-patriotyczne uniesienia, także na Rossie, udzielają się wszystkim, także tym najbardziej zdystansowanym. Bogatą wiedzę naszej znakomitej przewodniczki Janiny Tomaszewskiej wzbogacam informacją, dlaczego ściana prezbiterium kościoła rzymskokatolickiego pw. św. Ducha jest lekko przekrzywiona w prawo: – Bo Chrystus konając skłonił głowę na prawe ramię.

Nie wszyscy muratorzy tamtych czasów eksponowali ten symbol, ale wielu, choćby ci, którzy w 1499 roku budowali bydgoską katedrę.

1 maja

W Pikieliskach (Pikeliškės), w letnim dworku Józefa Piłsudskiego, w zasadzie mało przez Naczelnika użytkowanym, podarowanym mu przez Wdzięczny Naród, spotkanie z dobrze mówiącym po polsku Polakiem w sile wieku. To bardziej buduje niż historia.

A w Kiernowie (Kernavė), pierwszej stolicy Litwy, historia na omiotanie okiem. Pięć położonych obok siebie wzgórz grodziskowych. Jaskrawo-zielona trawa. Uroda niesamowita!

2 maja

W Kownie, jak na całej Litwie, pośpieszne odrabianie „zaległości” w stosunku do Europy Zachodniej – cały rynek w przebudowie. Inwestycje nabrzeżne (Niemen i Wilia) bardzo starannie wykonane, przygotowanie do budowy nowego mostu przez Niemen, tuż za ujściem Wilii. Ale i tak największe wrażenie wywiera młodość wędrująca przepięknym, jakby paryskim, Bulwarem Wolności (Laisvės alėja). Gustownie odziane dziewczyny, czysto ubrani chłopcy. Siedząc kilka godzin w jednej z kawiarenek ulicznych, na palcach liczyłem osoby sędziwe. Starczyło palców. Kowno, w odróżnieniu od Wilna, też nasyczonego młodością, sprawia wrażenie miasta bardziej otwartego na przyszłość, nieskrępowanego tym, co było.

3 maja

Augustów. „Pałac na wodzie” Falkowski 2009-2011 – sztyl restauracji i hoteliku, stylizowanych na secesję. Dramatyczna próba zapisania się w historii. Magnateria i szlachta nie wynosiła na sztyl swoich nazwisk, najwyżej herb. Pisanie historii zlecano kronikarzom. Obecnie, również za sprawą mediów społecznościowych, wszystko wywleka się na zewnątrz. Brak miary i hierarchii, nie mówiąc już o pokorze wobec dziejów świata, a nawet swojego życiowego dzieła. Robi się bardzo gęsto i płasko. Tłok i zamieszanie. Demokracja historyczna.

4 maja

Jeśli mężczyzna zwraca uwagę na swój wygląd, to albo pełni jakąś funkcję reprezentacyjną, albo jest zakochany, albo – co najczęściej – ma kompleksy. Jest jeszcze inna przypadłość, o której z uwagi na polityczną poprawność nie wspomnę. Normalny mężczyzna umyje się, ogoli i hajda do roboty.

5 maja

Budujący widok – rodzinka na rowach. Tylko pojazd mamy obciążony trokami. Albo panują tam murzyńskie zasady, albo kobieta – jak to kobieta – pragnie wykazać się niezbędnością.

6 maja

Martwię się gaśnięciem Zdzisława Prussa – znakomitego poety, dziennikarza i konferansjera. Uczyłem się od niego tryskania energią i pewnością siebie. To on w czasach covidowych jako jedyny przychodził do redakcji po „Akant”. Teraz też przyśledł. Zaklinam prawa rządzące wszechświatem, aby przychodził co miesiąc.

7 maja

Urzekający widok mego śpiącego wnuka Sebastiana. Młodzieńcy w tym wieku, nawet ci najbardziej zepsuci, mają jeszcze łagodne, pełne zdziwienia życie, twarze.

8 maja

Wybrano Papieża z Ameryki. Kto wie, czy nie wskazał go odchodzący Franciszek. Szybko go awansował w kardynałstwie; w ciągu dwóch lat kardynał-diacon, potem kardynał-biskup. Przecież rozmowy o następstwie na pewno toczono były za spizowaną Bramą czy w Domu Świętej Marty. To wśród racjonalnych mężczyzn korporacyjnych jest normalne. Szybka decyzja konklawe

Zakład Optyczny



**AUTORYZOWANA
PRACOWNIA OPTYCZNA
ZAPRASZA**

Pn. - pt. 10:00 - 18:00

Sob. 10:00 - 13:00

D.H. HERMES
ul. Wojska Polskiego 23
52 361 96 46

GABINET OKULISTYCZNY
Pn., śr., czw., pt. od 16:00

ul. Niedźwiedzia 7
52 322 47 47

GABINET OKULISTYCZNY
Pn., wt., od 16:00; pt. od 14:30

(czwarte głosowanie, drugi dzień) zdaje się o tym świadczyć.

Lat 69. Dobry wiek na podzielenie się ze światem zdobytą mądrością i doświadczeniem, tylko aby energii i zdrowia świadczyło. Włosi są zniesmaczeni; dźwigają ten Watykan, a tu nic.

Moi ewangeliccy i ewangelikalni przyjaciele też interesują się konklawe, choć z przekąsem. Bawi mnie trochę ten ich antypapizm i antykatolicyzm wyrażający przy każdej okazji. Kompleks mniejszego, bo przecież nie niższego. Oni są bardziej niż rzymscy katolicy przekonani co do świętych racji, które głoszą.

Według mnie takie światowe zainteresowanie papieżem świadczy o tym, że świat potrzebuje jakiegoś zwornika czegoś, co łączy, szczególnie obecnie w epoce wzmożonej globalizacji, która w efekcie atomizuje i polaryzuje.

9 maja

Podziwiam wychowawczynie i opiekunki, które mimo okropnych barier biurowych i własnej, naturalnej inercji prowadzą ulicami *drobiazg* w mniej lub bardziej atrakcyjne miejsca. Dla wielu maluchów już samo wyjście *gdzieś* jest atrakcją, bo ich rodzice są zmęczeni lub *nie mają czasu*.

10 maja

Dobrze, że po tych hałasach polityczno-medialnych zaczynamy myśleć geopolitycznie. Jan Wróbel postuluje w „Tygodniku Solidarność” (2025, nr 16, s. 31), aby „Europa była zjednoczona, trzymała na odległość kija Moskwę, a pod rękę wzięła Kijów (bez łupienia)”. To samo mniej więcej napisałem w nocy z 13 kwietnia 2025 roku.

Jednak poeta Dariusz Pacak z Wiednia dzieli się ze mną zaskoczeniem, iż Austriacy oraz ci, którzy Austrię zamieszkują cieszą się, że rosyjsko-ukraińska wojna ich nie dotyczy.

– A tu raptem do granicy z Ukrainą nieco więcej niż 300 kilometrów – mówi. – Co to dla przeciętnej rakiety!...

11 maja

Czytelnicy *Dziennika czasów poplątanych* na pewno zauważyli, że trochę obsesyjnie zajmuję się prowincją. Tak, bo z natury swojej muszę działać, a na prowincji taki aktywista, to jak doktor Judym. Znikąd pomocy, klody pod nogi, upupiająca inercja. Tego typu „uroki prowincji” zauważył także Józef Ignacy Kraszewski (nota z 4 stycznia 2025 roku).

W świetnie redagowanych i bogatych w treści „Migotaniach” (2025, nr 1, s. 90) taka oto refleksja Małgorzaty Dorny:

„Perspektywa małego miasteczka, w którym przyszło mi żyć – zdaje się zmieniać wszystko. Żeby lepiej ją zgłębić – zaczytuję się w dziewiętnastowiecznych powieściach. U Stendhala i Balzaca kompleks małego miasteczka prowadzi bohaterów do depresji i ostatecznej zguby. Życie na prowincji nadaje piętno wielkości temu, co (z perspektywy stolicy) okazuje się małe, ułomne jak gra słabego aktora, co to halabardę w drżącej, spoconej dłoni zwykły był ze szczerym, naiwnym pietyzmem i oddaniem (przez cały spektakl i dłużej) uważnie trzymać. Kobiety w większości tekstów egzaltowane, przywiązane do gry pozorów i blichtru, popadające

raz w romantyczne uniesienia, kiedy indziej w dewocję, wierne bardziej, niż młodym kochankom wyobrażeniom grzechu, występku, pokuty. Perspektywa małego miasteczka uczy ekstremalnych uczuć. Sprawy drobne, nieważne nabierają nagle znaczenia. Liczą się niespodziewanie detale, podczas gdy całość ewidentnie umyka”.

Urokiwie to, nieprawdaż?

12 maja

Niemal na podwórzu kamienicy z Redakcją „Akantu” stawiają, wciskając w ciasną śródmiejską przestrzeń, potężny budynek mieszkalny (120 mieszkań). Filozoficznie nastrojony obserwuję robotników w barwnych kombinezonach i podziwiam ich aktywność – z celem i bez celu. Cel: wyżyć się, zarobić, wypić piwo. Bez celu: w perspektywie wieczności lub nicości, jak kto woli.

13 maja

Brzydka matka z dwójką brzydkich dzieci, chłopców. Piękno – to matka z dziećmi.

14 maja

Biała kotka, którą nabawiła się żona z wnukiem przychodzi codziennie rano pod drzwi mojego pokoju po dotyk. Głaszczą ją i czasem tarmoszę, robiąc jej karuzelę na wyglansowanej przez panią domu podłodze, a ona potem udaje, że ucieka, wcześniej jednak przewróciwszy się na grzbiet, aby jednak karuzela się udała. Koty przyzwyczajają się i są przekorne... Nie, nie będę już pisał o kotach, bo to śmieszne. Zresztą tylu poetów, prozaików i pamiętnikarzy je opisywało, a one są wciąż takie same.

15 maja

Stary znajomy poskarżył się do mnie, a raczej na mnie, że rano trudno mu wstać, kolana go bolą i chodzi z ustami półotwartymi. Dlaczego na mnie? Bo należę jeszcze do tego świata, który wstaje wcześniej rano, choć czasem też nie ma ochoty, bolące kolana leczy rowerem i pływaniem, a oddycha przez nos.

– Ten świat jest taki podły – powiedział, bo właśnie ten świat jeszcze żywy i żwawy wypycha odchodzącego na drugi świat. A to przecież mechanizm życia i przemijania zakodowany w tym naszym wspólnym zegarku, a nie ja jestem winien.

16 maja

Wczesnym rankiem przed piekarnią, w której kupuję bułki śniadaniowe, jakiś facet w obcisłym, czarnym, jakby kominiarskim kostiumie jak na filmie kryminalnym, poprosił mnie, abym mu kupił drożdżówkę. Twarz miał nie zabiedzonego czy zapijaczego menela, ale typa, który bez mrugnienia oka zarządnąłby nie tylko kurczaka. I może dlatego, aby nie przerażać tą twarzą stał odwrócony do witryny sąsiedniego sklepu, udając, że coś ogląda na wystawie. Wzruszyło mnie to jego ni to zawstydzenie, ni to cwaniactwo i kupiłem mu drożdżówkę. Dwóch innych mężczyzn nagabywanych przede mną odmówiło mu owej usługi zapewne z uwagi na tę bezczelną, czerwoną, przerażającą nawet twarz. Podziękował zdawkowo jak klient w sklepie. Tak, była to transakcja, takie przecież normalne spotkanie człowieka z człowiekiem.

17 maja

Znów ktoś mi mówi, że podoba mu się mój *Dziennik czasów poplątanych*. Reaguje zażenowanym uśmiechem, bo zawsze tak reaguję na zbyt pochwały. A on uparcie, że... *bardzo mu się podoba, że zawsze od niego zaczyna czytać „Akant”*. Wyraźnie chce, żebym go odnotował tak jak Mariana Dąbrowskiego w nocy z 21 marca 2025 roku. Odnotowuję, ale bez nazwiska, bo cóż po takim nazwisku! To nie to, co *Dzienniki* Jana Józefa Szczepańskiego (1919-2003), ostatniego prezesa Związku Literatów Polskich przed polityczną przewrótka; tam to dopiero były nazwiska! Autor *Września* odnotował w swoich memuarach (*Kadencja*, 1989) spotkanie w Bydgoszczy, które zorganizowałem i prowadziłem 13 maja 1981 roku, ale mojego nazwiska nie podał. I słusznie, bo *szaraczki* zakłócają przecież prezentację *karmazynów*.

18 maja

Zostałem przewodniczącym Obwodowej Komisji Wyborczej. Nikt nie chciał. Dominowali przedstawiciele pokolenia Z, które chce zarobić, ale się nie narobić. A tu zazwyczaj trzeba spędzać noc w poczekalni biura Okręgowej Komisji Wyborczej pilnując, choć sen oczy morzy – białego jutowego worka z kartami do głosowania, a przede wszystkim protokołu, który w tej biurokracji wyborczej jest najważniejszy i trzeba go już pisać – aby było szybciej – od połowy dnia wyborczego. Nawet 700 zł diety przewodniczącego (szeregowy komisant dostaje 500 zł) nie zachęciło przedstawicieli pokolenia Z. Chcieli losować, już sporządzali losy... Powiedziałem, że to bezsens, bo *a nuż los padnie na...* Ugryzłem się w język i zamiast *na niedojdę* powiedziałem, że *na kogoś, kto bardzo nie chce lub z różnych względów nie może*.

Tym razem nie było wyrywanych kobiet, chcących rekompensować swoje poczucie niższości (noty z 15 października 2023 roku i 9 czerwca 2024 roku). A może i były, tylko ja jako przewodniczący szybko przejąłem stery, rozdając role. Najważniejsze, żeby każdy był czynny. Przeciwczyłem to w podziemiu lat osiemdziesiątych XX wieku; gdy nie było zajęcia to rozpoczynały się spory, intrygi, fantastyczne pomysły.

Na moment poczuli się ważni i ja też jako koordynator. Poczucie sprawstwa i ważności. Służy higienie psychicznej. Inna rzecz, że to sprawstwo wtórne, bowiem według wytycznych dla OKW zebranych w grubym zeszyte oraz w pomniejszych instrukcjach, w tym także instrukcji pakowania materiałów wyborczych po skończonej pracy.

Ustawiony mechanizm pracował bezszelestnie, dopóki w starego faceta, męża zaufania jednego z kandydatów, nie wstąpiła pasja regulowania świata aż do najmniejszej kropki. W faceta a nie w babę! Ten pierdołowaty facet swą nagle pozyskaną sprawczość i moc działania przekształcił w misję biurokratyczną. Wciąż wnosił poprawki i uwagi, także dotyczące kropek i przecinków.

Męczyliśmy się więc nad protokołem tak długo aż znaleźliśmy się na końcu kolejki czekającej w wielkiej hali sportowej na przyjęcie raportu i materiałów. Tam poznałem egzotykę hobbystów politycznych kolekcjonujących różne wiadomości ze sfery władzy i medialnych igrzysk. Pewien, ledwo stojący na nogach dziadek, opowiadał mi o

dokończenie na str. 6

Dziennik...

dokończenie ze str. 5

wyborach prezydenckich w Rumunii. Skrupulatnie, nudno, ze znanstwem. To już wolę plotkujące baby! Więcej w nich mimowolnej poezji albo soczystej prozy, a już na pewno zdrowego dialogu.

19 maja

Fascynujące są te urzędniczki! Nie mając wiele do roboty, a jak każde kobiety muszą wciąż – z niedowartościowania – udawać swoją niezbędność. Budują więc piramidy czy raczej labirynty biurokracji i niczym cerbery strzegą tych potworków. Obecnie budowie owych labiryntów służą internetowe wynalazki. Ostatnio jedna z takich cerberki na moją telefoniczną informację – uzgodnioną z nią oczywiście – że przyjadę do niej o tej i o tej godzinie wysłała mi wiadomość internetową składającą się z dwóch literek przedzielonych ukośnikiem: *d/w*. Pod tą „ważną wiadomością”, którą po chwili zdziwienia rozszyfrowałem jako: *do wiadomości*, piętrzyła się, obok rytualnego z *poważaniem* – piramida adresowa składająca się z 10 wersów (15 wyrazów nie licząc zaimków w nazwie instytucji), w tym z zabawnym: *główny specjalista*. Wyobrażam sobie jak ta *główna specjalistka* po kawie lub herbatce z pączkiem i wymianie plotek oraz drobiazgowym opisie minionego dnia, a nawet nocy, dostojnie, choć z nieukrywaną niechęcią, zasiada przed komputerem, w celu sporządzenia owej informacji *d/w*. Pod koniec pracy skarży się oczywiście na trudny dzień, aby po kilku tego typu głośno wypowiedzianych skargach, zwrócić się do kierowniczki z prośbą o kilka dnia zwolnienia na podratowanie zdrowia. Nie wyobrażam sobie jednak naczelnika, ewentualnie naczelniczki (wyższe szczeble w urzędzie są zazwyczaj w rzędach rodzaju męskiego), który opracował i na pewno wciąż je doskonali, owe korowody operacyjne, zwane poważnie w języku sądowym *procedurami*.

20 maja

Domek w kształcie nadbudówki okrętu wojennego starego typu. Dobrze wiem jak taka nadbudówka wygląda, bo w okresie chłopięcym kleilem modele z kartonu, a była to fascynująca i niełatwa sztuka. Po Sebastianie, który składa różne potwory z lego wiem, jak bardzo jest to chłopcom potrzebne i jak rozpala wyobraźnię. Oby nie skończyło się tylko na niej!

W każdym razie ilekroć podjeżdżam pod ten domek-nadbudówkę w Barcinie, i to w ochronnym, szarym, okrętowym kolorze, tylekroć myślę o jego pomysłodawcy. Wciąż istnieje w mojej wyobraźni, mimo że go nie znałem. A więc człowiek żyje nie tylko tak długo jak żyje pamięć o nim.

21 maja

Na ulicy – obok rowerowych dostawców żywności z kolorowymi kubikami na plecach, coraz częściej Azjatów, bo nie Murzynów, gdyż ci brzydzą się wszelką pracą – zgorzkniali mężczyźni jako przystawki do naburmuszonych żon. Przyzwoitość nie pozwala im opuścić wieloletniej kobiety, a poza tym – *jeszcze raz dać się wyssać, już lepiej być przystawką*, no i ten lęk przed samotnością oraz śniadaniowo-obiadowo-pralniczą wygodą.

22 maja

Gdy poeta nie ma w sobie liryzmu lub filozoficznej zadumczości, a co najmniej prostego, dogłębnego i bolesnego odczuwania istnienia, to popada w lingwizm. Bardzo to efektowna i fascynująca przestrzeń, takie konstruowanie słowne, świetnie nadające się do słownego nicowania przez podobnych do niego krytyków literackich. Owo popadnięcie w obłęd lingwistyczny obserwowałem namacalnie, towarzysząc błyskotliwej karierze Krzysztofa Solińskiego (1950-2006).

23 maja

Borykam się ze swoimi wyobrażeniami. Jak je ustawić, aby były energią napędową, a nie ogniem spopielającym realność?

24 maja

Widzę dyrygentkę szkolnej orkiestry dętej, która jeszcze kilka lat temu rozpychała się w przestrzeni społecznej i medialnej, a dmących chłopaków brała pod but. Teraz mało kto ją rozpozna i przypomni – skurczona, zwinięta, z otępiałym wzrokiem. Ależ, Boże, nie doceniasz ludzkich osiągnięć! Czyżby rzeczywiście tylko łaska (*solī gratia*)?

25 maja

Demokratyzacja wyniosła doły, czyli masy na wierzch. A że jest ich więcej, to pojawił się mechanizm ich kupowania i manipulowania nimi – populizm. Pojawił się też drugi mechanizm: walka prostaków tudzież nieudaczników z inteligencją i ludźmi twórczymi. Jeszcze niedawno bycie naukowcem, artystą, nauczycielem było dobrze oceniane; dziś jest to wstyd. Owo przewartościowanie wzmacniają spolityzowane media, miętolać pejoratywne słowo *wykształciuchy*.

26 maja

Gawiedź, która dla poprawy swego samopoczucia zawsze i wszędzie szuka „dziury w całym” (kompleks niższości), opowiada o niewdzięczności Ukraińców, którzy podczas Festiwalu Eurowizji nie głosowali na polską piosenkę. Być może im się nie podobała, a być może, podobno jak Litwini, mają kompleks niższości w stosunku do Polaków. Tak już jest z sąsiadami, choć mój, zza płotu, wydaje się być bardziej zrównoważony. Nie wiem, oczywiście, co o mnie opowiada żonie, gdy po podwórkowej gawędzie, zamknie za sobą drzwi.

27 maja

Podziwiam panią, która wszystko robi z namaszczeniem, całościowo i do końca. Jak śpi to śpi, jak mówi to mówi, wielką wagę przykładając do regularnych posiłków i odpoczywania. A ja wszystko *po łebkach*...

28 maja

Nuda... Towarzyszka twórczości, a nawet jej inspiratorka. W reakcji na nią szuka się lepszego świata, coś się tworzy. Nuda też wycisza, a bez ciszy nie ma głosu. Teraz jednak, w wyniku zmasowanej technologizacji przekazu, nie ma miejsca na nudę. Tak nawet reklamują się różne centra i generatory. Mało więc dobrej, oryginalnej, własnej twórczości, którą zastępują popłuczyny. Nie ma nudy, ale jest znużenie. Przyszła do mnie pracownica banku, która powiedziała, że ma tak dość tego

wszystkiego, tych procedur i instrukcji, że z mężem przeprowadziła się na wieś, gdzie urządziła dom bez telewizora, a internet jest tylko – tak jak telefon – narzędziem do szybkiej komunikacji.

29 maja

W gronie poetów rozmowa o innym, nieobecnym tu poecie. *Pisze jeszcze, czy już nie pisze?* Zupełnie jakby od ciągłego pisanie zależał sztyld. Utarło się, że literaturę uprawia się systematycznie, tak jak rolę czy ogródek. A może to już grafomania?

30 maja

Świat, który do niedawna był liniowy, płasko-geometryczny, nagle stał się sferyczny. Do niedawna do estońskiego Rewla jeździło się przez Litwę i Łotwę, a teraz można skoczyć samolotem. Skoki on-line na konferencję naukową czy na naradę w korporacji są na porządku dziennym. Więcej powietrza, ale też i próżni, w tym sferycznym świecie. W rezultacie wyjazd do niezbyt odległej miejscowości, który trzeba odbyć fizycznie, a nie w iluzji zmysłowej, sprawia ogromną trudność i realizuje się go z niechęcią. To samo dotyczy spotkań z ludźmi, a to już robi się niebezpieczne.

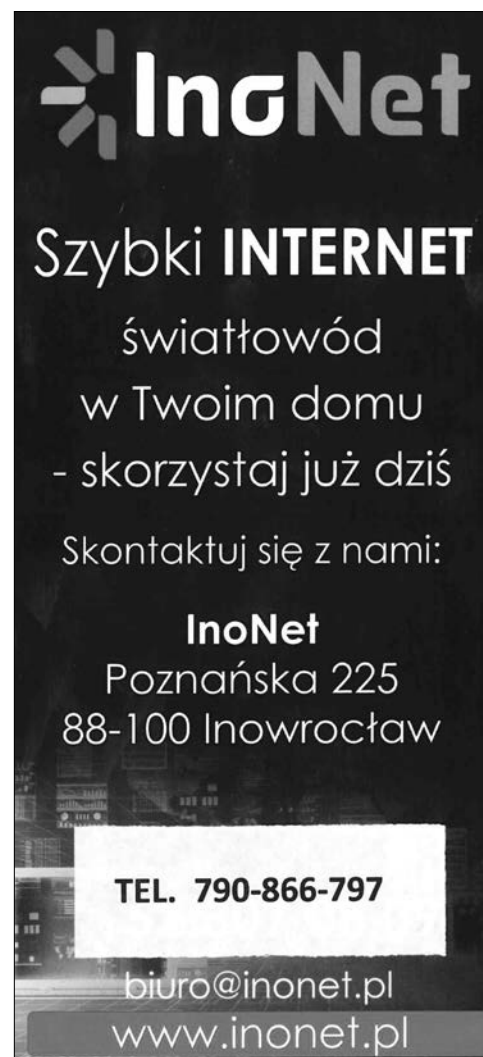
31 maja

Kończy się zimny maj. Sebastian, grzebiący w internetowym wysypisku, ze zdumieniem konstatuje, że tak mało mówi się o rekordowym zimnie w tym miesiącu, a tyle klepie się o zimach stulecia.

– Bo jest to uciążliwe tylko dla wrażliwych – próbuję znaleźć wytłumaczenie.

– To ja jestem wrażliwy?

– Wygląda na to, że tak. Dobrze, że tak. ♦



InoNet

Szybki INTERNET

światłowod
w Twoim domu
- skorzystaj już dziś

Skontaktuj się z nami:

InoNet
Poznańska 225
88-100 Inowrocław

TEL. 790-866-797

biuro@inonet.pl
www.inonet.pl

Jacek Jaszczyk

Urodzony w lipcu

prawdopodobnie urodzony w południe
czekałem na ciebie
w chwili kiedy słońce
na ustach akuszerki
wypowiedziało niebo
oddech ziemi
przyniósł spóźniony pociąg
prawdopodobnie ubrana w nim
w dźwięk zwrotnicy
przyjechałaś zbyt późno
a może ja zbyt cielesny w alfabecie
nie mieściłem kolorów skroni
którymi poszarzała między nami przyszłość

a potem były nieba i ziemię
w których spotykały się
wszystkie gałązki chmur
nad którymi aniołowie przetaczali
granice snów
i były śnieżycę
w których zamarzały jeziora
przypominające wody kalafonii
z których celtyckim odłamkiem
dotykała nas zielona wyspa
promieniem wodząc nasze
obłoki godziny i rozjazdy
zanim słońce wypali w nas
plony łąk i sadów

ale jeszcze w kącie staniemy
i wypełnimy sobą zdania
nigdy niewypowiedziane
i zakwitniemy okruciami
chleba naszego irlandzkiego
zamknięci i bezbarwni
jak niespokojne morze
po przeciwnych stronach okien.

świat oddycha jak dawniej
gdy otwierasz drzwi
wszystko zaczyna istnieć

liczymy mrówki i zbłądzone żuki
zamknięte w dłoniach
i czytamy z łodyg kwiatów
o życiu w kosmosie
które jest niemal pewne

może
dlatego widzę jak między
nami jest coraz mniej miejsca
na gwiazdy
przez które przepływam
śniąc że jestem rybą

a może to ryba śni
że jest zaledwie mną

gdy świat płynie jak dawniej
a przyływ odmierza
odpływ.

Manet

Wyobrażasz sobie, że jesteśmy
na obrazie Maneta *Śniadanie na trawie*.

Jestem na nim bratem Gustavem,
gdy siedząca obok naga Victorine Meurent
prowokuje spojrzeniem.

Żoną zostanie brodząca po kolana
w wodzie Suzanne.

Dotykamy cumującej obok niej łódki,
płynąc przez zielone łąki,
na trzecią stronę wyspy.

Nad jej brzegiem będziemy udawać,
że na obrazie Renoira *Taniec w Bougival*,
jesteś perłową córką szwaczki i nieznanego ojca,
gdy ja, bezcielesny jak jasnoszary kolor,
będę światłem przenikającym
miękkie kontury raju.

Meandry

Ta wiosna jest zimna,
jak zabite sękami przestrzenie,
które ważą między nami tyle,
co dziura po gwoździu,
którym do wszystkich zakamarków
śmiertelnie przybiła nas niepamięć.

Tutaj, gdzie Wisła wciąż płynie wzdłuż wierszy,
cienie ukryte w paprociach zaglądają w obłoki.
Krzyżem słonecznym zasłaniają oczy
wzgórzom zwirowym,
gdy zmartwychwstaje lato.

Rozmawiamy o sercu nieba,
przechodząc granice światła.
Wtedy, gdy w gałązkach zieleni
Ścieta piłą obumierała ćma bukszpanowa.

I wszystko trwało zwyczajnie.
Kryle, przenikając lustro wody,
uciekały przed samymi sobą,
gdy my, w pośpiechu,
układaliśmy na nowo bieg rzeki.

Dies irae

Wierście matce, która skrzypem
i pokrzywą strzeże naszego snu,
w sieci gwiazd dotyka
nieskończoności,
jak ryba przepływająca
przez zodiak.

Wierście ojcu, który przez zwirowiska
gromi gradobicia
częściami mowy
jak rycerz,
który w pancerzu żuka
pokłada całą nadzieję.

Nie wierście ziemi, która w dniu
wyrębu pozwoli zasnąć gałązkom
elektrycznego światła,
nad którymi miodne pszczoły
wyplakiwać będą spadz
tego świata.

Humilis

z dźwięków tych barw nad którymi
ostrzą się żagle chmur czas
jest jak najgłębsze przeźrocze kosmosu
z którego komety sypią swój sen

a może to jasność w nas tak śni
migocząca w przedsionkach raju
i niebo które spływa jak szmer
w zagłębieniach anielskich sukien

a może jedynie odbłask kropel
płynących przez lustra chrzcielnic
w których odbicia naszych spojrzeń
obmywają między nami kropidła
wszechświata

Słońce poboczne

tłumaczysz mi drogę
na której światło Gwiazdy Polarnej
zagnieźdża się w kwiatkach zasłon

mówisz że to struna
na której rozwieszony mrok
był Wielkim Wybuchem
z którego kształty galaktyk
formowały szczyty Lemurii

może w ich cieniu jesteśmy
wciąż błyskiem *parhelion*
który w szklane serce oceanu
rozsyłał rój meteorytów

teraz słuchamy
jak w żyłach rzek
i w spojrzeniach jezior
milkną gwiazdy

jakby to cisza coraz mniej martwa
szeptała między nami
wieczność

Potrzebujemy poezji precyzyjnej jak memy

Pod względem twórczym nie stanowimy bynajmniej wyjątkowej generacji. To wcale nie jest tak, że nasze czasy są pierwszą epoką, w której więcej osób pisze wiersze, niż je czyta. Nasze matki i babcie także próbowały ubierać w rymy (nierazko częstochowskie) swoje niespełnione uczucia wobec szkolnych kolegów, a nasi pradziadkowie, nawet nieumiejący pisać, wyżywali się artystycznie, tworząc rymowane przyspiewki. Naszym problemem jest jednak nieumiejętność dostrzeżenia wartości, jaką do współczesnego dyskursu mogłaby wnieść nowoczesna poezja.

Zdecydowana większość Polaków jest systemowo skażona niewłaściwą edukacją humanistyczną. Jesteśmy – jak psy Pawłowa – warunkowani do myślenia, że poezja musi być czymś ponadnaturalnym, że poeta to ktoś noszący w sobie boskie natchnienia i stojący ponad ludem, a godny uwagi wiersz to taki, który opiewa zakochanie, sprawy abstrakcyjne lub dotyczące niewielkiej, uprzywilejowanej grupy osób. We wczesnej dorosłości jesteśmy z kolei karmieni produktami książkopodobnymi z gatunku *young adult*, skupionymi zwykle na fetyszowaniu romantycznej miłości. Naszą zbiorową świadomość i artystyczną wrażliwość kształtuje także kult cierpienia i przelanej krwi. A to – pod względem twórczym – nie może skończyć się inaczej, niż płaczliwą egzaltacją.

Nie wszyscy twórcy bladej poezji, opisującej głównie przyspieszone bicie serca w obecności „tego jedyne”, mają ambicje literackie. Nie każdemu piszącemu zależy na budowaniu za pomocą słów pomnika trwalszego niż ze spiżu. Lwiej części amator-skich artystów wystarczy pisanie do szuflady lub publikowanie na portalach, które nawet nie recenzują nadsyłanych utworów. Nie ma w tym niczego szkodliwego – od czasów Freuda wiemy przecież, że dojrzały i dojrzewający ludzie na różne sposoby sublimują swoje popędy. Problem pojawia się wtedy, gdy miłosne rymowanki zalewają skrzynki wydawnictw i periodyków – trudno spośród ich natłoku wyłowić utwory, które mają potencjał artystyczny. Z perspektywy redak-

torów pomocne byłoby ogłaszanie naboru na wiersze o określonej tematyce (zwykle innej, niż romantyczna miłość). Korzystne byłoby też odbywanie choćby krótkich rozmów z autorami nadsyłającymi swoje dzieła. Już po kilku zdaniach rozmowy z drugą osobą można często oszacować, jaką wiedzę i wrażliwość posiada potencjalny autor. Zdaje sobie jednak sprawę z tego, że takie rozwiązanie byłoby energo- i czasochłonne. Wreszcie: sądzę, że zmiana jakościowa w zakresie twórczości młodych poetów będzie mogła się wydarzyć dopiero wtedy, gdy zmodyfikujemy rodzimy model wspomnianej już edukacji humanistycznej. Dzieci i młodzież mają przecież prawo wiedzieć, że poezja to nie tylko Morsztyn, Byron i Słowacki, a trzynastozgłoskowiec (i rymy w ogóle) nie stanowi jedyne narzędzie, za pomocą którego można opisywać rzeczywistość. Lekcje polskiego i historii byłyby ciekawsze i potencjalnie bardziej wspierające dla osób z lierackimi ciętymi, gdybyśmy w ich trakcie omawiali poezję współczesną i eksperymentalną. Wśród młodzieży, która rozumie, że język poezji to nie skansen, ma szansę znaleźć się więcej osób z ręcznie posługujących się słowami.

Poezja, której potrzebujemy, powinna konfrontować się z bieżącymi problemami społecznymi. Musi dotyczyć tematów nierówności, samotności współczesnych trzydziesto- i

czterdziestolatków, efektów transformacji ustrojowej i napięcia związanego z koniecznością ciągłego podejmowania decyzji. To nie jest tak, że nie zasługujemy na teksty o miłości czy lęku przed śmiercią – potrzebujemy jednak poezji wrażliwej, ale nie omdlewającej, zaangażowanej, ale nie topornej. Jestem też przekonana, że wystarczająco dobra poezja nie musi być doskonała warsztatowo (jak zresztą zmierzć poziom doskonałości...?), ale powinna ona albo mieścić się w ramach pewnych konwencji i gatunków, albo świadomie je łamać. Utwory gęste, odległe od słowotoku i nadęcia, mogłyby nawet zająć miejsce memów. Popularność internetowych obrazków z przewrotnymi podpisami – czyli *de facto* poezji sieci – wskazuje, że wciąż potrzebujemy celnych, wyrazistych komentarzy pod adresem tego, co trapi współczesnego człowieka. Obserwacja zjawiska memizacji kultury dostarcza paradoksalnych uczuć: z jednej strony niepokoi, a z drugiej – napawa nadzieją, że wciąż jesteśmy otwarci na metaforyczny obraz świata. A to niezłomny dowód na to, że w dobie sztucznej inteligencji wciąż istnieje przestrzeń na celne słowa, czyli na prawdziwą poezję.

Nieprzypadkowo za uniwersalne zaczynamy po czasie uważać te utwory, które w momencie swojego powstawania dotyczyły spraw istotnych dla ludzi konkretnej epoki. ♦

Granice poezji

„Akant” do bibliotek

Coraz więcej bibliotek, które nie mają prawa do otrzymania egzemplarza obowiązkowego (tylko 15 bibliotek), przesyłanego przez Poczta Polska za darmo, **prosi o „Akant”**.

Nie jesteśmy w stanie sprostać tym potrzebom, bowiem wysyłka jednego egzemplarza kosztuje 7 złotych, co w skali całego roku daje około 100 zł. Prosimy więc Czytelników i Autorów o wpłacenie na cel wysyłki bibliotecznej dowolnej kwoty. Co miesiąc publikować będziemy efekty zbiórki oraz informację, która biblioteka została objęta tą akcją. Wpłacając na ten cel można też wskazać bibliotekę, którą należałoby wzbogacić „Akantem”. Najpierw należy zapytać się o zgodę.

Prosimy o wpłaty z dopiskiem *Biblioteka*.

Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych
Nr konta Bank PEKAO SA I Oddział Bydgoszcz
03124011831111001002291025



„TĘCZOWY ZAKĄTEK”

NOWOCZESNE OSIEDLE ZBUDOWANE NA BAZIE
PONAD 30 LETNIEGO DOŚWIADCZENIA.
UL. FILTROWA NA CZYŻKÓWKU W BYDGOSZCZY

SPRZEDAŻ MIESZKAŃ

☎ 604239030 ☎ 571338880

sim.bydgoszcz.pl

Adam Michalak

Łąka

Strojna w pastele
maści naręczami wejrzeń
odgrodzone pejzaże
woalem wieczornej mgły

znaleziona nieśmiała
objawiając swą psią wierność
do ukrytych fantów

czarcimi kręgami zbliżeń
skapana ciszą
wybuchłych kretowisk
tropi tańce żurawi

podczas biegu przy nodze
pawiooka
w żyłach pulsuje
euforią miododajnych toastów

warując otrząsa z ziół
kudłaty łeb
równiny usianej gwiazdami

gdy zakopałem słowo
w jej czarnej piersi
zaskowyczał widnokrąg

Iwona Orzechowska-Wiater

Serce w nawłoci

Moje serce w nawłoci, wrotyczu, łopianie
krwawnikiem broczące, firletką roześmiane

Arcydziesięć dziewczanna kąkol macierzanka

Na bezdroża mnie włoką, na manowce prowadzą
W wonnej trawy miriadach przeistaczam się w światło.
Trans łagodzi przyziemność, choć z ziemi wyrasta
bujna splątana dzikość - moja siła i pasja.

Macierzanka dziewczanna wyka arcydziesięć
Z nimi wiosną rozkwitłam, w ciszy uwiędnę.

Arcydziesięć dziewczanna kąkol macierzanka.

Magdalena Połczyńska

Szpak

znalazłyśmy go pod drzewem
nie miał już sił by sięgnąć owoców
zabrałyśmy go ze sobą
ranem śniłam ujadające czarne psy
kąsające się nawzajem
gdy się obudziłam nie było go w pokoju
wyzdrowiał i odleciał powiedziała mama
zupełnie bez radości

Magdalena Podobińska

Dopóki Ziemia kręci się,
dopóki jest tak czy siak
Panie, ofiaruj każdemu z nas,
czego mu w życiu brak:
Bulat Okudźawa

dopóki ziemia kręci się
i kręci ją to
będzie tańczyć
z rozwianymi włosami

obsiadą ją motyle
Zorzynek rzeźchowiec
Czerwończyk dukacik
i jakżeby inaczej – Paź królowej

otoczą ramionami papierowe
i płaczące brzozy
pogłaszcze rzeński nadmorski wiatr
Panie zielonooki
Mój Boże jedyny spraw

dopóki jest tak czy siak
Joe Black musi poczekać
zrobiła mu spore zapasy
masła orzechowego

może skusi się też na miód gryczany
lub syrop z mniszka?

szepczą szeptuchy
szepczą modlitwy szeptuchy

Paulina Wojciechowska

Ocalona przestrzeń

Ścinano z pomocą kos żniwnych lucernę sierpowatą
– w cytrynowożółtych kwiatostanach ad extremum
nie dopatrywano się urodzaju sekundarnych cyklów.
Nie intrygowała już nieparzystość omszonych liści,
pryncypialność korzeni: ta nie stanowiła dla klingi
przeszkody. Potoczna prostota w zdartej miękkości
skóry dłoni zmniejszała dystans między włóknami
nerwowymi drzewca; z wolna pruła się wewnętrzna
tkanina żywota, mechaciły sielskie fupy. Socjolekt
ziołowego spektrum wypełnił immanentnie głuchą
pustkę po letargach wyższości. Słomiany kapelus
kołował wśród źdźbeł uschniętych traw, a przez
szczeliny kłińców rozwarstwionej mlecznej kopuły
tłoczył się wieczór. Nuże! Zanim kompozycję gęstą
ogładzi rosa miodowa na wiechach owsa i podwika
błonkówek zasłoni pola, nagramy do płacht eutyinii!

Magdalena Podobińska

makatka

w krytej słomą i utkanej z jodłowych belek chałupie do której żeby wejść
należy pochylić głowę -a należy- zamarło już życie
jednak deskowe szalowane z ćwiekami drzwi nie są zaparte
to z powodu licznych o tej porze zwiedzających

w pobielanej wapnem izbie wśród malowanych kufrów krucyfiksów
drzeworytów i oleodruków z wizerunkami świętych
na ścianie między kredensem a małym okienkiem znajduje wydziergana
niebieską nitką mądrość: Dobra gospodyni dom wesółym czyni
zabieram ją ze sobą aparatem cyfrowym
i wywołam w sercu gdy zajdzie -a zajdzie -potrzeba

Magdalena Połczyńska

Żuki

kucamy razem na leśnej drodze
piasek jest wilgotny od deszczu
przewracamy leżące do góry nogami żuki
na właściwą stronę
potem przenosimy je ze ścieżki
w bezpieczne zarośla
ich pancerze lśnią zielono
wśród źdźbeł trawy
uśmiechasz się
myślę o tym jak długo będziesz wierzył w życie
tak jak dziś

Magdalena Połczyńska

Czereśnia

bezmiar upalnego lipca
sen w południe
nade mną gałęzie czereśni
a na nich rozkrzyczani i brudni my
dłonie mamy
czarne od ziemi i odrapane od kory
nie ma dla nas tego co było
nie ma dla nas tego co będzie
liczy się tylko chwila
przegryzienia twardej skórki
i słodycz lepkiego soku na ustach
dziś każdy z nas przepadł
i jest kimś innym niż wtedy
czy jesteśmy tymi którymi chcieliśmy być?
z naszej czereśni co roku opadają owoce
których już nikt nie zbiera

O latach transformacji z własnego punktu widzenia

Lata transformacji ustrojowej, gospodarczej i politycznej w latach 1989-1991 przypadły na ważne dla mnie lata, czyli końca szkoły podstawowej (zaczynałem w SP nr 7, potem przeniosłem się do SP nr 52, a po pobiciu mnie przez syna funkcjonariusza MO do SP nr 143) i pierwszych lat nauki w III LO (zwanego przez bardziej wnikliwych) trzecim zakładem. Pamiętam jak dziś, że lekcja o rozwoju międzynarodówki komunistycznej w siódmej klasie, którą prowadził historyk Kwaśniewski będący także dyrektorem SP 143 nic nie znaczyła w następnym roku, kiedy zmienił się ustroj. Do tego zawsze miałem kaca moralnego bo akurat mnie przepytowano z rozwoju owej międzynarodówki i dostałem - 4 (a mogłem chociaż - 3), co mogło być w następnym roku odczytane jako wrogość wobec nowej władzy. Jednak mimo, że nie pojechałem obrzucać kamieniami pomnika Lenina z kolegą z klasy, nie chodziłem do spowiedzi w pierwsze piątki, gdyż brzydziłem się pogaduszkami z jakimiś dziwnymi facetami w kościelnych, drewnianych budkach zwanymi konfesjonalami, to także robiłem różne rzeczy, które wyrażały jakiś sprzeciw wobec władzy na miarę swoich młodych lat. Raz zbuntowałem się tak, że część realistycznych zdjęć w gazetce szkolnej w klasie, w której miałem zazwyczaj lekcje języka polskiego z wychowawczynią, zamieniłem na reprodukcje arcydzieł impresjonizmu wycięte z książki dotyczącej tego kierunku. Wobec nowych władz buntowałem się słuchając muzyki metalowej, gdyż jakoś nie widziałem powodu bycia bardziej religijnym niż byłem. Kościół mnie przerażał – monumentalizmem podobnym do pomników komunistycznych, schematycznością zachowań podczas mszy, nienawidziłem religijnych śpiewów i dźwięków kościelnych organów marki Casio, a także złożonych ram świętych obrazów. Procesje, roraty wydawały mi się jeszcze większą wiochą niż pochody pierwszomajowe. Jednak w tych podstawówkowych latach, po zmianie ustroju było coś czego nigdy nie zapominałem – nadziei na przyszłość. Wcześniej nie było nadziei, bo świat był poukładany i chodziło się do podstawówki tylko po to, żeby potem pójść do jakiejś średniej szkoły, a potem to się zobaczy. Chodziłem do średniej klasy w podstawówce pod względem ocen i pół godziny nauki czy godzina dziennie wystarczały do bycia w czołówce uczniów. Komunistyczny ustroj gwarantował stabilizację obibokom, wałkoniom, ludziom, którzy nie wiedzieli co z sobą zrobić, żyli z dnia na dzień i raczej wpisywałem się w ten obraz, niż pragnąłem zmian. Jak już pojawiły się zmiany byłem niezbyt przygotowany na nie. Okazało się, że te ośmieszane kujony, ludzie z rodzicami w Stanach Zjednoczonych, obrzydliwi ministrowie o twarzach eunuchów zaczęli cieszyć się poważaniem. Także nagle zaczął liczyć się język rosyjski bo jego znajomość gwarantowała udziały w nowym podziemiu społeczno-biznesowo-artystycznym. I

tak stałem się wyrzutkiem i autsajderem w nowym świecie przemian biznesowych, gdyż zamiast przymilać się nauczycielom w liceum robiłem się nerwowo, zamiast dyskutować i rozmawiać często sam chodziłem po alejkach koło szkoły z papierosem, zamiast się uczyć wymyślałem nowe rodzaje ściąg. Muzyka metalowa zastąpiła mi szkołę. Była ciekawsza, mroczniejsza i bardziej dojrzała. Dopiero moja pierwsza dziewczyna, która chodziła na oazę (największy szczyt wiochy dla mnie) uświadomiła mi, że jestem postrzegany przez klasę jako wariat, choć nic takiego nie robiłem co miało na to wskazywać. Prawdopodobnie zainteresowania muzyką metalową na początku lat 90-tych, kiedy ludzie powtarzali „religia”, „kościół”, „Okragły Stół”, „George Bush”, „Clinton”, „Wałęsa”, „Polskie Zoo” wydawały się czymś niestosownym i dziwnym. Klasę zdominowała córka rusycystki, którą mąż porzucił, jej chłopak fan motoryzacji i syn posłanki z KPN-u. Wszyscy uczniowie z klasy byli przez nich traktowani z góry i często znieważani, choć oczywiście w jakichś cywilizowanych ramach, bo nie było mordobic i opluć. Najdziwniejsze było to, że córka rusycystki kuła wszystko na pamięć i była najlepszą uczennicą w szkole, choć wiele innych dziewczyn uważało, że ważniejsze od kucia było rozumienie. Syn posłanki był przepychany z klasy do klasy, dzięki łapówkom, bo kiedy go wyciągano z pał na koniec semestru, zawsze dostawał -3 dzięki podpowiedziom kolegi. Czołówka klasy w pierwszych latach wolnej RP była dla wielu traumą i wiele uczennic z mojej klasy licealnej wybrało się po liceum studiować pedagogikę, żeby udowodnić nauczycielom z liceum, że w szkolnictwie nie ważny powinien być status rodzica, kucie na pamięć, albo łapówki.

Byłem krytykowany przez wychowawczynię, że nie integruję się z klasą. Byłem także zmuszony raz do obcięcia długich włosów, choć były to lata 90-te. Pierwsze lata wolnej Polski to świadomość, że ci ludzie co mają władze i pieniądze na niewiele pozwolą innym ludziom, których traktowali jak „niziny społeczne”. Po liceum studiowałem chemię, byłem słuchaczem Policealnego Studium Pracowników Służb Społecznych, a potem dostałem się na filologię polską. W moim przypadku pierwszą przyczyną pójścia na studia była chęć ominięcia przymusowej służby wojskowej, gdyż nigdy nie byłem specjalnie wysportowany, a nie chciałem by znęcał się nade mną jakiś starszy żołnierz tylko dlatego, że nie zrobię 100 pompek. Niestety komisja wojskowa przydzielająca kategorie zdolności do służby wojskowej nie robiła sobie nic wielkiego z moich deklaracji, że jestem satanistą i na pewno mając w ręku broń kogoś zabije i dostałem A. Filologia polska pojawiła się po latach metalowych, kiedy zacząłem więcej zastanawiać się nad pisaniem i nową epoką. Myślę, że dla wielu młodych ludzi transformacja ustrojowa dokonała się wtedy, kiedy zniknęła przymusowa służba wojskowa. Bo

żadna władza nie robiła nic ze zjawiskiem fali, a to przecież nie było ludzkie, ani humanitarne podejście do ludzi. Po studiach trafiłem do Urzędu Pracy, w którym przesiedziałem pięć lat. Potem się wypisałem. I tak człowiek nie przejmujący się życiem, bez planów na przyszłość został zaproszony do tekstu o wizji transformacji ustrojowej w literaturze polskiej. Tak naprawdę żadna książka mi nic nie wyjaśniła, bo kiedy pierwsze lata transformacji się dokonywały byłem dopiero u progu dorosłości. Co z tego, że Marek Nowakowski w „Homo Polonicus” i Stefan Pastuszewski w „Opowieściach niezwykłych” opisali mi jak byli ubecy dostawali pracę w różnych zawodach po 1989, przecież kilku moich znajomych mówiło podobnym żargonem wziętym z opowiadań oświecenijskich, że trzeba się jakoś urządzić. Nikt nie protestował, bo każdy rozumiał, że albo sobie wszelakimi znajomościami i trikami poradzisz, albo odpadniesz i będziesz najwyżej w domu siedział i wegetował. Co z tego że Bronisław Wildstein opisał mi w „Opowiadaniach z ograniczoną odpowiedzialnością”, że pierwsze wielkie pieniądze do Polski po upadku systemu komunistycznego na rozwój biznesu nie przysły z USA, ani Niemiec, tylko z Rosji i klasą biznesową stali się dawni partyjni, milicjanci i pracownicy bezpieczeństwa oraz ich rodziny i znajomi, a nie młodzież katolicka i opozycyjna. Przecież w młodości nie byłem ani za tymi, ani za tamtymi. Co z tego, że Kazimierz Orłoś napisał w swoich opowiadaniach ze zbioru „Historia leśnych kochanków”, że upadek PRL-u spowodował większą brutalność zachowań wśród młodzieży, bo przecież puszczała ją w latach 90-tych samopas i nie miał jej kto wychowywać, ani spałować, a przecież w ryja dostawałem od starszych kolegów częściej w latach 80-tych niż 90-tych. Jedyna furta dla mnie za młodu jaka wydawała się trochę bardziej otwarta niż inne to była muzyka metalowa. Jednak mimo dobrego startu moja kapela nie zrobiła kariery jak wiele innych. I być może przez to, że w „Brulionie”, „Lampie I Iskrze Bożej” i „NaGłosie” pisano o kapelach rockowych – filologia polska pod koniec lat 90-tych wydawała mi się dobrym rozwiązaniem, bo akurat wtedy słuchałem sporo rockowej muzyki. Jednak młodszy koledzy w swoich czasopismach i wystąpieniach krytycznych do subkultur, muzyki rockowej, artzinojowej poezji nie przykładali większej wagi. Pojawiły się nowe drogi kariery, nowe poglądy artystyczne. Znakiem nowych czasów była antologia nowej poezji z Zielonej Sowy, w której nie zamieszczono wierszy poetów artzinojowych i krytyczna książka „Zwrot polityczny” Stokfiszewskiego, w którym nie pojawiły się słowa „subkultura”, „punk” i „rock”.

Za późno zlikwidowano obowiązkową służbę wojskową i za długo przez to byłem na studiach, żeby odnaleźć się na rynku pracy. Studiowałem kilka ostatnich lat bez przekonania. A w literaturze polskiej nie odnalazłem zbyt wielu wyjaśnień moich doświadczeń z okresu przełomu oprócz wystąpień roczników 60-tych nawiązujących do haseł młodzieży z Jarocina „ani partia, ani Solidarność”, czy tego wyjaśnienia Wildsteina, że kasa w wolnej Polsce przyszła z Rosji, a nie z USA na rozwój biznesu. ♦

Bronisław Pastuszewski

Uchodźcy, losy, decyzje

Kijowianka

Julia Szerszowa (Юлія Шершова) opuściła Ukrainę wraz z narzeczonym w grudniu 2022 r. po brutalnej napaści Rosji na to państwo 24 lutego tamtego roku. W obawie przed atakami rakiet i dronów, po wielu nalotach na stolicę, zdecydowała się wyjechać na zachód. *Urodziłam się w Kijowie i spędziłam tam wspaniałe 33 lata – mówi. Jej matka Natalia pochodzi z Rosji z okolic Czelabińska, a ojciec z Browarów niedaleko Kijowa. Babcia ze strony matki Wanda Lewakina była Polką z domu Janczewska. Znała język polski, wiele wierszy, modliła się co wieczór w tym języku. Moje pierwsze smaki polskiej kuchni zawdzięcza babci – zapamiętałam jej kanapki ze smalcem i kiszonym ogórkiem przygotowywane w kształcie serca. Dziadek od strony ojca pochodził z Mołdawii, a babcia z Ukrainy. Julia została ochrzczona w cerkwi prawosławnej w Kijowie. Tu ukończyła technikum, a następnie Uniwersytet Technologii Informatycznych. Pracowała jako kierownik w agencji matrymonialnej. W stolicy poznała przyszłego męża Ildara Muhamiedzi-nowa, krymskiego Tatara, urodzonego w Kirgistanie. Do 2006 r. mieszkała ona z matką na lewym brzegu Dniepru, a potem w rejonie Darnickim na prawym. Ildar na początku 2022 r. oświadczył się, a ślub cywilny zawarli w Polsce w Bydgoszczy w sierpniu 2024 r. W przygotowaniach do uroczystości ślubnej bardzo pomogli świadkowie, a także „polscy rodzice” – pani Renia i pan Zbyszek. Mąż w Kijowie zajmował się sprzedażą materiałów jednorazowych dla centrów medycznych i salonów kosmetycznych. Po wybuchu wojny oboje zdecydowali się przenieść do naszego kraju, gdzie jego firma mogła normalnie działać, rozszerzając prace także za granicą. Tu, w Bydgoszczy Julia rozpoczęła naukę języka polskiego, a dzięki pochodzeniu babci otrzymała Kartę Polaka. Aby ją dostać musiałam nauczyć się wielu informacji o Polsce, religii, geografii, kulturze i historii. Po rozmowie z konsulem otrzymałam dokument. Po złożeniu wniosku o pobyt stały Julia w styczniu tego roku otrzymała pozytywną decyzję. Obecnie ubiega się o polskie obywatelstwo. Wiążę naszą przyszłość z Polską – mówi. Julia pilnie uczęszcza na lekcje polskiego, chcąc nabyć umiejętności na poziomie CI i zdać egzamin państwowy. Z mężem byli w wielu polskich miastach i zwiedzili niektóre ciekawe miejsca. Byli m.in. na Rysach, w kopalni soli w Wieliczce i nad Bałtykiem. Julia jest bardzo*



otwarta na polską kulturę, zabytki historyczne, które z chęcią odwiedza, chcąc zostać w pełni obywatelką naszego kraju. Jej drugim zainteresowaniem jest taniec, szczególnie rytmy latyno-amerykańskie.

Ważną cezurą w jej życiu były lata 2013-2014, gdy na Ukrainie wybuchła „rewolucja godności”. Z wyborem przez ówczesny rząd rosyjskiego kierunku w polityce nie zgadzało się prawie 80% Ukraińców. *Jak wielu młodych brałam udział w protestach w centrum miasta na Majdanie usytuowanym na Placu Niepodległości. Zbierało się tu do 300 tys. ludzi. Brutalna akcja policji i tajniaków w listopadzie kosztowała życie kilkudziesięciu osób. Ja pracowałam jako wolontariuszka, przygotowując protestującym herbatę jedzenie i ubranie. Żyli oni w zimie*

na ulicy, w centrum stolicy. I działo się to w XXI w.!. To było okropne, ale oni walczyli o wolność. Byłam małą częścią protestu. Dla mnie był to niesamowity czas, który w końcu przyczynił się, że Ukraina mogła stać się wolnym i demokratycznym państwem. Tamte dni były dla mnie prawdziwą szkołą życia i odpowiedzialności. Tamten także ważny okres historii ukraińskiej pozostanie mi na zawsze w pamięci. Kocham Ukrainę, ale też chcę korzystać z możliwości odkrywania świata. Lubię podróżować i do tej chwili udało się mi odwiedzić wszystkie kraje w Europie, kilka w Azji i jeden w Afryce... Pamiętam początek naszego pobytu w Polsce. Widziałam oczy tysięcy Polaków, którzy nam pomagali, kupowali żywność i zapraszali do swych domów. Jak starali się mnie zrozumieć bez dobrej znajomości języka, jak cieszyli się z naszych drobnych sukcesów. Dziękuję im za to!

Oceniając Polaków Julia uważa, że nie cieszymy się należycie z faktu, że mieszkamy w zadbany i raczej dobrze zorganizowanym kraju i rozwijającym się i na razie bezpiecznym. ❖



Prosimy pisarzy o ich książki!

Wszystkim pisarzom i bibliotekarzom, którzy chcieliby **podarować książki** Klubom Polskiej Książki, podajemy adresy tych placówek. Zapewniamy, że tam wszystkie książki czyta się i analizuje. KPK organizują również spotkania autorskie. KPK szczególnie interesują się literaturą współczesną, skupiając jej gorliwych czytelników.

- KPK, Klub Nauczyciela, ul. Słowackiego 58/60, 60-521 Poznań, tel. (061) 852 10 85
- KPK, Wacław Ratyński, Kuźnica Czeszycka 29, 50-320 Krośnice, woj. dolnośląskie, tel. (071) 3845551
- KPK-Podbrodzie, Pabrade Internatienia Mokykla, 4710 Pabrades, Mokyklos gatve 5, Litwa – Lietuva, tel. 0037038754402
- KPK – Landvarov, Henriko Senkeviciaus Vidussmokykla, 4200 Lentvaris, Lauko gatve 20, tel. 828218905, Litwa-Lietuva
- KPK-Wielony, Felicja Leszczyńska, LV 4550 Vilani, Rzeknes rajon, Nakotnes iela 2/3, tel. 003714662598, Łotwa – Latvija
- KPK – Mała, Jadwiga Okumiewicz, LV 4630 Malta, Rzeknes rajon, Jaunatnes iela 11, tel. 003714641921, Łotwa – Latvija
- KPK – Rzezyca, Rzeknes Polu Vidusskola, Lubanas iela 49, LV 4600 Rzekne, tel. 003714023552, Łotwa – Latvija
- KPK, Ośrodek Szkolno-Wychowawczy dla Dzieci i Młodzieży Słabowidzącej i Niewidomej im. Louisa Braille'a, 85-008 Bydgoszcz, ul. Krasińskiego 10, tel. (052) 322 17 87
- KPK, Osiedlowy Klub „Odnova” 85-806 Bydgoszcz-Kapusińska, ul. Planu 6-letniego 38, tel. (052) 3631867, drugi czwartek godz. 17.00
- KPK, Zespół Szkół im. Łangego, 78-425 Biały Bór, ul. Brzeźnicka 10, woj. zachodniopomorskie, tel. (094) 3739019, (094) 3739757, 0696469781
- KPK, Żyrardowskie Wieczory Literackie MDK, 96-300 Żyrardów, Pl. Jana Pawła II/3, każdy poniedziałek (z wyjątkiem świąt) godz. 16.00
- KPK, Zespół Szkół Chemicznych i XIV LO, ul. Łukasiewicza 3, 85-821 Bydgoszcz, tel. (052) 3611008
- KPK-Lubostroń, Zespół Pałacowo-Parkowy, pow. Żnin, gm. 89-210 Łabiszyn, tel. (052) 52384623, 0605097743
- KPK-Szkola Podstawowa nr 38, 85-858 Bydgoszcz, ul. Węgierska 11, tel. (052) 3621060
- KPK 89-530 Śliwice, Ewa Żarska tel. (052) 3368331, 0511866335, Śliwiczki 62
- KPK Ośrodek Szkolno-Wychowawczy nr 2 85-791 Bydgoszcz, ul. Akademicka 3
- KPK Pensjonat „Salamandra” 84-104 Jastrzębia Góra, ul. Nasza 2, woj. pomorskie
- KPK Siergiej Finow 24 7760 Mozyrz ul. Pierszajmajska 18/46, Białoruś
- KPK Witalis Myszona 24 7841 Łelczyce ul. Ostrowskiego 31A, Białoruś
- KPK, Zespół Szkół Fryzjerskich 85-209 Bydgoszcz, ul. Nakiełska 11
- KPK, Zespół Szkół Spożywczych 85-844 Bydgoszcz, ul. Toruńska 174
- KPK, Okręgowy Klub Aktywności Twórczej PZN 85-090 Bydgoszcz ul. Powstańców Wielkopolskich 33
- KPK, Gimnazjum Kolumba Bydgoszcz ul. Świętej Trójcy 9
- KPK, 88-190 Barcin ul. Dworcowa 10 Restauracja „Luizjana”
- KPK – Birmingham Polish Millennium House Bordesley Street, B5 5 PH Birmingham England tel. +44 121 64 33 577
- KPK Klubokawiarnia, 89-421 Sośno, ul. Młyńska 1 tel. 787525190, e-mail: jus.ryc@wp.pl Prowadzący: Justyna Rychlik

Magdalena Podobińska

Iokowanie życia

o Bobofrutach radośnie objających się o siebie w koszyku czerwonego dziecięcego wózka
cieście rabarbarowym niemal samo wychodzącym z prodiża
ciepłym mleku z kożuchem na szkolnej stołówce i tym w proszku z darów w kościele
słodkim i klejącym wodzącym na pokuszenie w kuchennej szafce
o kakaowych drażach z Olzy przegryzanych razową bułką
o spełnionych wielkich marzeniach o różowej czapeczce z kangurkiem czeskich białych
tenisówkach dekatyzowanych džinsach i katanie
ciemnozielonych przepełnionych i wiecznie spóźnionych pośpiesznych pociągach
do których wsadzaliście nas przez okno gdy wyjeżdżaliśmy na upragnione lato do babci
barach mlecznych i tych dworcowych
o Świecie Młodych wtorkowym czwartkowym sobotnim niezastąpionym
o plakacie Limahla z Razem zdobytym po gorączkowym biegu od kiosku do kiosku
radiomagnetofonie Kasprzak walkmanie Kajtek rzutniku Ania
Przebojach dwójki Koncercie życzeń głosowaniu na Eurowizji
o pierścieniu eterycznej pastelowej Arabeli który załatwił by tak wiele spraw
Robin Hoodzie o kruczcoczarnych włosach i sarnich oczach trafiającym prosto w serce
już od pierwszych taktów muzyki Clanndad
o wizycie Luceli Santos i Rubensa de Falco w tamtej Polsce
hat tricku Gary Linekera na Mexico 86 i ręce Maradony przez którą tak płakałam
i o tym jak wierzyłam że w powtórce może być inny wynik
o Bibliotece Nad Stawem pełnej opowieści w których się schowałam i odnalazłam
i słonych ogórkach z beczki tak niedobrych że aż pysznych w sklepie obok
małym Plastusiu śpiącym w zamykanym na magnez białym prostokątnym
piórniku z nadrukiem Lis i kruk
pachnących gumkach które chciało się zjeść tak jak mydełko Zielone Jabłuszko
o Made in China wymawianym po naszymu i z wielką czcią
Majówkach Roratach strojeniu okien i procesjach na Boże Ciało
sprzedawanych w teczkach Obrazkach do kolorowania kolorowymi kredkami
-najlepiej tymi z namaszczeniem układanymi w żółtym pudełku z misiem
o uspokajającym dźwięku pralki Frani
o życiu jak z Elementarza Liter Rośniemy Razem czy Nasz świat i my
teraz tu w kolejce do lekarza
proszę Poczytaj mi mamó

Grażyna Wojcieszko

Wiśnie i czereśnie

piszemy, piszemy do siebie listy, zrywamy, zrywamy wiśnie z
naszych ust, zbieramy, zbieramy czereśnie z naszych rąk.
codziennie, codziennie nowe listy, nowe wiśnie i czereśnie.
w kwietniu dopiero były kwiaty, kwiaty nam wyrastały z rąk
i z ust. w maju zielone, zawstydzane owoce, zielone słowa

dojrzawały powoli, strona po stronie długich listów, powoli
wiśnia po wiśni, czereśnia po czereśni, każda robiła się czerwona
coraz bardziej czerwona. czerwiec już był nasz. całe pole wiśni
i czereśni w naszych listach, jest już duży sad. potem sady pełne
słów. a wszystkie czerwone. połacie wiśni i czereśni z naszych słów.

Truskawki

truskawki z piaskiem prosto z twoich ust. z każdą myślą, z każdym
słowem zapędnią wielki kosz. już mam cały wielki kosz truskawek.
każda inna, nierówna, niebanalna, ale czerwona, ale słodka, a piasek
jest prawdziwy, jak słowa pisane bez słów. truskawki prosto z twoich
ust, jak wiersz spisany ze smaku truskawek z piaskiem, z gorącym

piaskiem w pełni lata, w pełnym słońcu, w rechocie żab, w krzyku
żurawi, w trawach, w ziołach, w kwitach, w kąpielu jezior i rzek,
w ciepłych nocach lata. truskawki prosto z krzaka, jeszcze z
piaskiem, jeszcze z pełnym smakiem, prosto z pół, z pół prostych,
zwykłych słów, truskawki prosto z twoich ust upalnego lata.

Aleksander Pietraszunas

twarz

odstęp
wysła poza
zasięg odskoczyła dzikim
kraulem a ja tylko chód
do boi ja do lin no wiesz
najczęściej jedno
z drugim się nie

zdzwoni setny
przeszczep swąd

wyłobień dziś
nie tkwimy razem
w czasie odpychają
się bieguny
zmiennosc budzi
okres burzy

ten sam pociąg
dwa bilety
każde gnije
w innej klasie

choć tak blisko
choć przez
czaszkę
nie zrównamy
się w podróży

Kropla po kropli

kropla po kropli powoli wsiąka, powoli nawadnia spragnioną
ziemię. kropla po kropli. mżawka. i tylko taki deszcz zasila
źródła. mży uczucie. daje wodę na długie miesiące. miłość
pojawia się jak deszcz, niby nadchodzi, ale dopiero kiedy
cię zmoczy wiesz, że jest. jeden deszcz to powierzchniowy

wiersz. wyczekiwany jeden wiersz. odchodzi chmura, a wiersz
nie płynie, chyba, że kropla po kropli napoi go mały deszcz,
napoi wspólny czas. kropla po kropli wydrąży ścieżkę, nawet
w skale. chmura sunie, gdzie chce, gdzieś tam do tych, co
czekają na jeden wiersz. ja czekam na mały, powolny deszcz.

Adam Michalak

Deszcz

Gdy wieczór zagląda do okien
przyciąganej pełni
twarze srebrzą neony
pulsujące samotnością

peleryna deszczu
przechodniów otacza
przystankami parasoli
przejęciem odchodzących kroków

przemoknięte ślady
znikają w ciemnościach
dłoni szukającej oparcia

łzy Boga

Cześć

Dziewczyna podniosła się, trzymając w ręku książkę, którą podał jej z koca starszy handlarz. Poprawiła ciemne, lekko falowane włosy, przykryte czarnym beretem, poczuła na sobie spojrzenie i się odwróciła. Od jej ciemnobrązowych oczu zaparło mu dech. Mężczyzna na chwilę stracił poczucie rzeczywistości. Dziewczyna zmrużyła nieco oczy, najwyraźniej zastanawiając się, co za dziwak się na nią gapi. Dopiero wtedy Mikołaj opamiętał się, spojrzał pod nogi i poszedł dalej.

W głowie przyjemnie się kręciło, niby na jarmarku bożonarodzeniowym po kilku kubkach grzanego wina. Dziwne, ale nie mógł sobie przypomnieć, po co przyjechał na pchli targ. Czajnik, serwis kawowy, kawa? Ale bzdury! Przecież w każdą niedzielę przyjeżdżał wyłącznie w poszukiwaniu jakichś książek. Wszystko do kawy, łącznie z samą kawą i słodyczami, miała starsza pani z małym białym pieskiem tuż po wejściu na rynek, obok mobilnej kawiarni. Ale aromat wydawał się być wszędzie, więc nic dziwnego, że jego myśli kręciły się wokół kawy.

Mężczyzna się zatrzymał. Stał przy kocu z rozmaitymi kłódkami, wiecznymi różami, kwiatami w wiklinowych koszach i ogrodowymi figurkami, wśród których zauważył kilka aniołków. Mikołaj nawet nie udawał, że interesuje go towar – do handlarza w ogóle stał bokiem. Zdjął czapkę, przycisnął do piersi, a potem umieścił ją z powrotem na głowie.

„Nie” – pomyślał.

– Jak się Pan czuje, wszystko w porządku? – dobiegł głos starego handlarza.

– Nie wiem – odpowiedział Mikołaj.

Wziął głęboki oddech i się obrócił. Dziewczyna stała, patrząc prosto na niego, prawą dłonią podtrzymując łokieć lewej, a dłonią lewej – podbródek. Uśmiechnęła się, gdy ich spojrzenia się spotkały.

Wleciał schodami na piętro, przewijając w głowie kawę wypitą z Dorotą w przytulnej kawiarni, do której dojechali kilka przystanków tramwajem. Dorota zawsze zaglądała tam po swoich wyprawach na targ. Mikołaj zaś, po swoich wołał jak najszybciej dostać się do domu, żeby napić się czegoś gorącego w ciszy, przy jednej z nowo zakupionych książek. Tego dnia ani ona, ani on nic nie kupili.

Mikołaj wszedł do kawalerki i zamknął drzwi, oparł się o nie plecami i ciężko oddychał.

– Ech, jak zawsze. Cześć – powiedziała papuga. – Cześć, Lidia.

– Cześć, Aleksie – niepewnie przywitał się mężczyzna; ostatnio papuga nieczęsto o niego wspominała.

Mikołaj podszedł do długiego wąskiego stolika, który oddzielała małą kuchnię od salonu i otworzył kłatkę z wielką, szarą papugą. Wypełnił karmnik, dolał wody do poidelka i spróbował pogłaskać ptaka.

– Cześć, dziękuję, Je-e-zu – ćwierkała papuga cofając się.

Mikołaj odwrócił się i wyciągnął niecierpliwie z kieszeni spodni komórkę.

– Halo – Mark odezwał się po pierwszym sygnale.

– No hej. Co słychać?

– Przechlapane.

– Jednak trzeba zrobić kapitalny remont silnika? – zapytał się Mikołaj, dobrze wiedząc o co chodzi.

– Uhm.

– Przykro mi. Ale wiesz, to nie może ciągnąć się w nieskończoność.

– Może jednak warto zacząć szukać... Ale nie wiem. Nie jestem pewien. Chociaż, szczerze mówiąc, ostatnio o tym myślę.

Jeszcze przez kilka minut porozmawiali o samochodzie Marka, a potem kolega pożegnał się, zapomniawszy nawet zapytać Mikołaja, co u niego.

– Ech, jak zawsze – rzekła papuga, wyprzedzając mężczyznę. – Cześć.

– Tak, jak zawsze – pogodził się.

Usiadł na wysokim krześle przy stole i odnalazł kolejny numer.

– Słucham – odezwał się Damian.

Mikołaj chciał od razu zacząć opowiadać o swoim dzisiejszym spotkaniu, lecz słysząc przygnębiony głos przyjaciela, nie zdecydował się na to.

– Jak tam? Wszystko w porządku?

– Obudziłem się rozbity i nie mogę zmusić się do wstania z łóżka. Na samą myśl, że będę musiał wstawać, gdzieś iść, coś robić, czuję się tak źle, że chcę mi się krzyczeć – odpowiedział Damian.

Mikołaj usłyszał cichy żeński głos, potem przytłumiony głos kolegi.

– Rozumiem, jeden wolny, a...

– To był pierwszy i ostatni raz. Koniec. Kropka. Głupie to, ale raczej nigdy więcej, przysięgam.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że znowu podnieśli ci ratę?

W słuchawce ponownie rozległ się kobiecy głos. Przytłumiona odpowiedź Damiana. Replika jego żony. Bardziej nerwowa odpowiedź mężczyzny. Głosy stawały się coraz głośniejsze, ale za chwilę zaczęły się oddalać i brzmiały już gdzieś daleko, prawie niesłyszalnie. Mikołaj zrozumiał, że o nim zapomniano.

– Cześć – szepnęła mężczyzna i się rozłączył.

– Jak się masz? Wszystko w porządku? – zapytała papuga.

– Wydaje mi się, ja znowu czuję... – zaczął mówić z entuzjazmem, lecz opamiętał się i cicho rzekł: – Komu to mówię, Je-e-zu.

Papuga taktownie zmilczała. Mikołaj poszedł do salonu i usiadł na kanapie, znalazł numer trzeciego kolegi, lecz się nie spieszył, zastanawiał się – najprawdopodobniej będzie musiał jeszcze raz wysłuchać cudzych problemów. Jednak pragnienie podzielenia się swoim szczęściem szybko wzięło górę.

– Cieszę się, że zadzwoniłeś.

– Kacper, nie wierzę, znowu pijesz? – zapytał Mikołaj, zdając sobie sprawę, że nic dzisiaj nikomu nie opowie.

Przyłożył telefon do drugiego ucha i się położył.

– Po prostu nie mogę się z tym pogodzić.

– Że ma innego?

– Że nie jesteście razem. Że nigdy jej więcej nie zobaczę. Chyba nigdy więcej się nie zakocham.

– No dobrze cię rozumiem – przerwał Mikołaj, nieco mocniej ściskając telefon. – Skończmy na tym.

– Ale czemu się denerwujesz? – zapytał zdziwiony Kacper. – Przez Lidię? Przecież to obłęd! Minęło już z pięć lat, a ty nadal tęsknisz?

– Dość – przez zaciśnięte zęby powiedział Mikołaj, a potem wykrzyknął:

– Dość!

– Przepraszam, ja po prostu...

Ale Mikołaj już rozłączył się i odrzucił telefon na stolik kawowy, nie chcąc słuchać pijanego bełkotania. Nie chcąc więcej słuchać niczego. Nikt nigdy nie przejmował się za bardzo jego samopoczuciem. Po wypadku drogowym stać ich było jedynie na krótkie wiadomości z wyrazami współczucia. I tyle.

Mikołaj zamknął oczy i próbował o niczym nie myśleć. Leżał przez chwilę, ciesząc się spokojem. Nagle przed oczami pojawił się uśmiech dziewczyny z pchlego targu, stolik w kawiarni, silny zapach kawy z cynamonem i smak słodkiego croissanta. Ukłuło go uczucie winy. Lecz słabe. Nie tak silne, jak dziś rano. Nie tak silne nawet, jak godzinę temu. Rozległ się dzwonek i mężczyzna się podniósł. Idąc ku drzwiom zauważył wreszcie, że umiera z głodu.

– Cześć – powiedziała papuga, naśladowała dźwięk dzwonka jeszcze raz i jak zwykle kontynuowała: – Cześć, dziękuję, Je-e-zu. ❖

Współpraca z Autorami i Czytelnikami „Akantu”

Przekazując materiały do redakcji „Akantu”:

– autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.

– autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.

– autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię, a w notach biograficznych rok i miejsce urodzenia).

– autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.

– autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

Wszystkich Czytelników, Autorów oraz Przyjaciół „Akantu” zapraszamy do wsparcia finansowego naszego czasopisma.

Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać oraz drukować Wasze teksty. Przyjaźń i solidarność ludzi kultury pozwoli przetrwać kulturze w tym skomercjalizowanym świecie.

Nr konta bankowego wydawcy, czyli Towarzystwa Inicjatyw Kulturalnych: 03 1240 1183 1111 0010 0229 1025.

Dziękujemy za pomoc!
Redakcja

Co było, to było

– Komu ja jestem potrzebny? Do czego jestem przydatny? Na pewno już nigdy nie będzie lepiej tylko gorzej. Nic nie mogę zrobić, na nic nie mam wpływu, jestem bezradny jak ryba wyrzucona na piasek.

Próbował wstać z fotela.

Nie, nie chciało mu się.

– Nawet takiej decyzji nie mogę podjąć – to odkrycie trochę go rozluźniło, nawet jakby rozbawiło, więc wstał.

Podszedł do okna, bo człowiek zawsze dąży do światła, co też było pozytywnym odkryciem, odsunął firankę i popatrzył poprzez dziurawą zasłonę liści klonu rosnącego tuż przed blokiem na ulicę. Czekał na jakiegoś przechodnia, jakiś ruch, orzekając, że wtedy odejdzie od okna, gdy ktoś się na ulicy pojawi. Po chwili, po bardzo długiej chwili przywłókł się pochylony starzec, opierający się o kulę, nawet nie o laskę, która jest tylko psychologicznym zabezpieczeniem ruchu, co o prawdziwą kulę z podpórka dla dłoni i oparciem dla łokcia..

– Brrr! – otrząsnął się głośno i to mu dało trochę otuchy.

Wrócił do fotela i sięgnął po brewiarz. W seminarium zawsze radzono mieć brewiarz pod ręką.

– To taka psychologiczna podpórka jak laska – mówił *regens*, który ukończył jakiś kurs psychologii, więc dano mu do wykładania i ćwiczenia przedmiot o nazwie „Psychologiczne aspekty stanu kapłańskiego”. – Otwierasz obojętnie na jakiej stronie, czytasz i już jesteś w innym świecie. W ogóle czytanie jest dobrym antidotum na stres, kochani – dodawał z taką pewnością siebie jakby odkrył Amerykę. W ogóle ci wykładowcy w seminarium mieli manierę głoszenia prawd niewzruszonych i ostatecznych, prawdopodobnie wynikającą z nadmiernego obcowania z dogmatami. Tak się zaperzają w głoszeniu niepodważalnych, choć czasem sprzecznych racji, że siedzą przy obiedzie w refektarzu naprzeciw siebie i nic do siebie nie mówią, wzrok wlepiony w talerz, nawet sosjerki z sosem chrzanowym, stojące gdzieś na skraju stołu, ten najbliższy siedzący nie pada. Trzeba więc wstać...

Ożywienie wystąpiło, ale tylko na chwilę, tym bardziej, że zawarte w brewiarzu słowa psalmów, hymnów i modlitw, czytane przecież wielokrotnie, bo każdy rzymski kapłan ma obowiązek codziennie czytać brewiarz, wydawały się suche, wyżęte z soku treści. Sięgnął więc po *Annę Kareninę* Lwa Tołstoja, której nie mógł – jak dotąd – doczytać. Perypetie zakochanej na zabój pary wydawały mu się sztucznie rozdymane przez dziewiętnastowiecznego pisarza. No i ten finał, o którym z filmu, który oglądał w młodości, wiedział, że będzie tragiczny, samobójczy.

– Brrr!

Mimo, że otrząsnął się, to jednak myśl o samobójstwie znów zaczęła go dręczyć.

– Osoby, które popełniają samobójstwo nie robią tego dlatego, że chcą umrzeć, tylko dlatego, że nie mogą dalej żyć – gdzieś tam wyczytał.

– A czy ja mogę dalej w takiej beznadziei żyć? Brrr! Co robić? Panienci... Ksiądz Zdzisław z Pobląsówka powtarzał żartem, że na ranę duszy najlepszy jest plaster z ciała.

Ksiądz Henryk pogrzebawszy w leżących na stoliku karteluskach, wyciągnął bilet autobusowy z nabazgranym przez księdza Aleksandra numerem telefonu agencji świadczącej usługi w terenie. Tym razem poprosił o dojrzałą, bo tylko taka potrafi pocieszyć. Po godzinie, och jak to długo trwało, prawie tydzień, dzwonek do drzwi. Poprawiając kołnierzyk koszuli i prostując grzbiet poszedł otworzyć. W drzwiach stała Monika, a poznał ją po tych wielkich, brązowych, krowich oczach, tylko po nich, bo zapudrowaną aż po przesady twarz miała jakby zapuchniętą, a przynajmniej nazbyt zaokrągloną. No i ta ociążała otyłość, jakże kontrastująca z mocno wbity w pamięć smukłością jej bioder i jędrnością pośladków. Dlatego też nie przyszła w dżinsach, tylko w dzwonach, które miały równie szerokie nogawki, ale u góry były obcisłe, aby widoczny był zarys pupy, chyba tej najbardziej kuszącej mężczyzn części kobiecego ciała. Mimo pięćdziesiątki z kawałkiem i uwiadu skóry wyglądała całkiem nieźle.

* * *

Co było, to było, ale do poczucia winy z powodu czynu lubieżnego, który nie został jeszcze wybaczonej, doszło teraz poczucie winy z powodu zdeprawowania Moniki.

– Może ona nie przeze mnie zeszła na złą drogę? – usiłował się pocieszać, ale poczucie winy i tak było silniejsze.

– Sumienie to sędzia surowy. Człowiek od razu czuje, że jest potępiony. Wstydzi się za zło. Trudno mu od niego odwrócić wzrok, bo jak to doświadczył król Salomon, zło idzie przed człowiekiem.

Ksiądz Henryk nie spodziewał się, że będzie aż takim myślicielem.

– Nie ma niczego, co by na dobre nie wyszło – odezwał się zdrowy rozsądek.

– Ale czy myślenie jest szczytem wszystkiego? – zaraz dopadły go wątpliwości myśliciela. – Jest jeszcze...

Z korytarza, mimo zamkniętych drzwi, dobiegł płacz dziecka, przeradzający się w spazmatyczne łkanie, które tym razem nie drażniło.

– Dobrze, że jacyś ludzie tu mieszkają – pomyślał ksiądz Henryk. – Żle by było, gdybym został sam.

* * *

Co było, to było...

Cała ta przygoda z Moniką skłoniła nowoodkrytego myśliciela do następujących rozważań, będących w istocie zlepkiem zasłyszanych i wyczytanych mądrości:

Seksualność funkcjonariuszy Kościoła rzymskokatolickiego jest przyćmiona, bo siłą rzeczy sublimuje się w tych dwóch pozostałych sektorach napędu człowieka, a mężczyzny przede wszystkim: władza (wobec maluczkich) i pieniądz (z używaniem życia). Ale jest jeszcze religijny ideał...

Jest. To czwarty napęd, czasem jednak prowadzący do dziwactw; nie ma nic gorszego jak ksiądz-fanatyk! Poza tym, jakże trudno pogodzić ten ideał z popędem seksualnym. Ludzie o tym wiedzą i uśmiechają się przyzwalając, gdy ksiądz żyje z gospodynią pod przykrywką siostry czy kuzynki. W metryki tych pań nawet biskup nie zagląda, bo przecież lepiej, że ksiądz jest ustatkowany, niż gdyby miał latać z kwiatka na kwiatek. Dobrze więc, jak ksiądz mieszka z kobietą, a nie z chłopakiem. „Swoją chłop”, chwala go wierni i dodają: „Nawet babę ma”. Parafianie wiedzą przecież, że w tym środowisku panuje nadreprezentacja osób homoseksualnych. I cieszy ich, a może nawet są trochę dumni, że „ich ksiądz nie jest ciepły”.

Ale relacja z kobietą jest wymagająca. Niektórzy księża boją się kobiet i nie potrafią z nimi rozmawiać. A już zjednoczenie genitalne z kobietą... Wagina ma zęby, jest otchłania, jak mówią obrazowo, często spotykający się z takimi przypadkami terapeutów...

Ale człowiek potrzebuje miłości. Choćby do kwiatka na parapecie, do dziewczynki ujranej przez okno... Człowiek jest istotą kochającą. A więc dramat i różne metody samozaspokajania oraz relacji pobocznych.

Kochanka...? Nie kochanka, to tylko w relacjach społecznych, w których każda relacja musi być słownie uregulowana, tak się mówi. W relacjach osobistych jest to miłość po prostu i tylko miłość. Na przykład Romeo i Julia.

SKLEP TANECZNY BYDGOSZCZ



pon - pt: 12:00 - 18:00
sobota: 12:00 - 15:00
niedziela: 12:00 - 14:00

e-mail: xsusanx@wp.pl

telefon: 504 550 547

ul. Śniadeckich 47, Bydgoszcz

Ponad 10 lat z Wami!

– Ale to wchodzi w kolizję z religią.
– Nie z religią, tylko z prawem kościelnym – oponował wewnętrzny *advocatus diaboli*.

– Trzeba wyginać się, balansować – lamentował ksiądz Henryk.

– Miłość kosztuje. Stefan kardynał Wyszyński mówił, że ziarno kosztuje a plewy nie – *advocatus diaboli* mędrca na wszystko miał odpowiedź i dalej pisał:

– Więzi muszą być czymś powstrzymywane, coś musi być nośnikiem tych więzi. Wspólne zamieszkiwanie, codziennosc. Prąd nie popłynie bez przewodów, chyba, że piorun, ale to tylko przez kilka sekund. A tu człowiek chce na lata, wieczność całą, jak w przypływie miłosnego uniesienia obiecuje sobie kochankowie.

Miłość bez materialnego umocowania to jak kwiat bez korzeni, czy bąbel na wodzie. Pierwszy można sobie tylko wyobrazić i są tacy platonicy, drugi pryska prędzej czy później, raczej prędzej. Miłość platoniczna jest rodzajem aberracji, a miłość okazyjna, już sama nazwa mówi, tylko bywa i zaraz jej nie ma.

No i ta cholerna odpowiedzialność!

– Jak kobietę roztkliwisz, to bierzesz za nią odpowiedzialność. Ona już jest twoja, ona już się tobie oddała. Tak nawet się mówi na jej zachowanie się podczas aktu płciowego – mędrkował ksiądz Zdzisław z Poblaskówka.

I zaraz przytoczył klasyczny już w plebanijnych opowieściach *casus* księdza Wenancjusza Maćkowiaka, który tak szanował swoje kolejne kobiety i brał za nie odpowiedzialność, że gdzieś na boku, w miejscowościach odległych od jego miejsca posługi, brał z nimi śluby cywilne, dwa, bo z pierwszą dość szybko się rozwiódł, przyzwyczajony przecież do księżej swobody. Ofiara losu – łoś albo jeleń, lepiej – jeleń... A że był współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa, to mu tych żon i dzieci nie wpisywali do dowodu osobistego.

Pies by się w tym mieszkaniu nie zmieścił. Może i by zmieścił, tak jak ten stary ekspres do kawy pełen zdechłych karaluchów wciąż się mieści, ale rozwaliliby się na łóżku i trudno, żal byłoby mi go zwalić, kiedy ja chciałbym się rozwalić. A poza tym w chrześcijaństwie pies jest nośnikiem brudu, skażenia. To *skwierna*, mówiąc językiem naszych wschodnich sąsiadów, świętokradztwo. Pies w mieszkaniu księdza, kiedy ten od czasu do czasu odprawia w nim Mszę Świętą na taborecie, bo wspaniali konfratry nie chcą dopuścić go do ołtarza, najwyżej do konfesjonału, tego szamba ludzkiej natury... Nie, to niemożliwe!

Kot? Kot byłby lepszy, ale koty śmierdzą.

Komputer? Ten nowoczesny łącznik samotnego człowieka ze światem. Zapalasz rano ekran i już ci się cały świat, mimo zaokiennych mroków, rozświetla. Patrzysz, co w kraju i na świecie, co w Amazonii. Tak, trzeba gdzieś załatwić stary komputer, bo na nowy nie ma przecież pieniędzy. Może w jakiejś parafii jakiś komputer się wała, tylko tych parafii, z którymi można o tym porozmawiać jest coraz mniej. Trędotawaty... ♦

Franciszek Ciereński

Pewność

Ksiądz Henryk był impulsywny. Impulsywny i uduchowiony; to drugie dla wytłumaczenia impulsów raczej. Gdy nadchodziły go jakieś wątpliwości co do takiego czy innego czynu albo gdy czekało go coś trudnego, zwracał się do Boga o potwierdzenie lub deklarację Bożej pomocy. A czynił to tak: zamykał oczy i ścisnął powieki, aby zobaczyć świetlisty krzyżyk. Jeśli się pojawił, to znaczyło, że jest dobrze lub będzie dobrze. Jeśli krzyżyk się nie pojawiał, a przed oczyma pulsowała tylko ciemna, zazwyczaj czerwona, bezkształtna plama, to tak długo zaciskał powieki, aż się pojawił lub aż wydawało się księdzu Henrykowi, że się pojawił. Czasem, oczywiście, kierował oczy w kierunku słońca, wtedy pojawiał się bez dwóch zdań. Czy to było pogańskie? Kult słońca? Nie, bo przecież to Bóg stworzył słońce w dniu pierwszym.

– Słońce? On tylko stworzył światłość i wiedząc, że światłość jest dobra, oddzielił ją od ciemności (Rdz 1, 3-4) – znów naszała go wątpliwość, bo podczas ćwiczeń w seminarium poddawano pewne sprawy w wątpliwość, aby wyrobić pewność.

– Jaka światłość jak nie słońce!

– A Lucyfer? Lucyfer znaczy świetlisty.

– Idź precz szatanie!

Tak go matka, gdy zwierzył się jej kiedyś z kosmatych myśli, nauczyła odpędzać pokusy. Robił to do dziś. Czasem nie skutkowało. Słabość. Każdy człowiek jest słaby. Czasem jednak pokusa była tak silna, że zapominał o tej matczynej radzie, a poza tym nie wszystko, co wątpliwe moralnie od szatana pochodzi.

– Co w ogóle znaczy *wątpliwe moralnie*... Według katechizmu? Którego? Tego modernistycznego, zatwierdzonego, bo przecież nie napisanego przez Jana Pawła II?

Gdy czasem naszała go po tym wszystkim refleksja, to przypominał sobie wykłady o ludzkiej słabości, których słuchał w seminarium, gdy tematem był sakrament pokuty. Pokuta... Pokuta wszystko zmaże. Dobrze, że w Kościele katolickim jest taki sakrament. Jednoznaczny sakrament. Puk, puk w kratki konfesjonału i po wszystkim. W innych Kościołach nie ma tego puk, puk. Sakrament Pokuty – jeśli w ogóle tam jest – jest rozmyty. Penitent musi

się zwracać sam do Boga. Człowiek wtedy nie wie, czy ma grzechy odpuszczone, czy nieodpuszczone.

Ksiądz Henryk miał więc dzięki temu krzyżykowi pod powiekami pewność we wszystkim co czynił. Nawet gdy czynił źle, to miał pewność, że będzie mu to odpuszczone. Odmówi z książeczki litanie, w najgorszym przypadku zamknie się na pokutę w jakimś klasztorze. Dwa, trzy dni, najwyżej tydzień i po wszystkim.

Pewność jest dobra, neutralizuje, choćby tylko częściowo, zło. Większość księży rzymskokatolickich ma pewność. Tak ich w seminariach szkółą, bo co to za pasterz, który nie ma pewności. Taki to ani stada nie sformuje, ani – jeśli zostanie już ono sformowane – nie poprowadzi dalej.

Niektórzy to nawet osiągają pewność zbawienia. Ksiądz Henryk był raz przy takim konającym kapłanie, który miał taką pewność.

– Chciałbym też taką mieć, kiedy przyjdzie moja godzina – myślał z zazdrością.

– Idź precz, szatanie! Zazdrość jest grzechem.

Umierający kapłan skonał w tej pięknej pewności.

– Czy aby na pewno? Czy nie wyczytał jej z jakiegoś traktatu mistycznego i ze strachu przed nicością utożsamiał się z nim?

Ksiądz Henryk był pykniczny, z wiekiem coraz bardziej. Krępe, rozłożące się po czterdziestce ciało, krótkie kończyny, krótka gruba szyja, duża głowa, okrągła twarz z wielkim, zgrubiałym na końcu nosem. No i te okulary! Nie soczewki ani denka butelek, ale dość grube. I to przez całe życie.

W odróżnieniu od innych księży, nie cieszył się więc jako owoc zakazany zainteresowaniem kobiet. ♦



FIRMA RODZINNA

PRODUCENT RYB I OWOCÓW MORZA

NR 1 W POLSCE

NAJLEPSZA JAKOŚĆ

PRZYSTĘPNA CENA

DOSTĘPNY WSZĘDZIE

ABRAMCZYK Sp. z o.o.
ul. Inflancka 7, 85-776 Bydgoszcz

tel./fax +48 (52) 344 56 77
e-mail: sekretariat@abramczyk.pl

www.abramczyk.pl

Droloff
Przewozy krajowe i zagraniczne

Przewozy krajowe i zagraniczne

- ☐ przewozy krajowe i zagraniczne
- ☐ wyjazdy turystyczne
- ☐ zorganizowane wyjazdy narciarskie
- ☐ przewozy pielgrzymów
- ☐ obsługa zawodów sportowych
- ☐ obsługa wyjazdów służbowych
- ☐ obsługa wyjazdów rekreacyjnych

ul. Broniewskiego 38/12, 87-100 Toruń
tel. 56 686 05 05, 604 282 235
www.droloff.com.pl

Stefan Jurkowski

Jest taki wiersz

Elżbieta Cichla-Czarniawska

zasoby

myślałam

że już zużył się sens świata

patrzę w siebie a tam

słowa słowa

nie odkryte

niebezpieczne

twarde

poranione

tyle znaczeń ile słów

i więcej

jestem częścią świata

spojrzę mu jeszcze w oczy

nim zamilknie we mnie

Elżbieta Cichla-Czarniawska należy do poetek „rozpoznawalnych”. Zarówno charakterystyczna wersyfikacja (acz w każdym wierszu odmienna), jak i zawsze głęboka warstwa refleksyjna stanowią jakby firmową jej pieczęć. Tak też jest w zasobach.

Jest to utwór – jak i pozostałe – głęboko refleksyjny, ale nie deklaracyjny, oderwany od konkretnych kontekstów. Piszac w pierwszej osobie poświadcza poetka autentyczność własnego doświadczenia.

Introspekcja prowadzi do osobistych odkryć, które nie niestety wielu poetom nie są powszechnie dostępne. Oto mamy tutaj ową wewnętrzną rzeczywistość, w której są słowa poranione, niebezpieczne, twarde. Ale co jeszcze obok nich? A właśnie znaczenia, których jest więcej niż samych słów (znaków) liczonych „na sztuki”. Zauważmy jak oto poetka, nie nadużywając opisów i komentarzy, mówi – jakby w sposób „ponadślowny” – o wieloznaczności poezji. Czyli o najistotniejszej sile poetyckiego słowa.

Są to chwile ulotne, przeczuwane intuicyjnie. Nic tutaj z wysiłonego konceptu. Ale jednocześnie charakterystyczna skromność. Choć wyznaje poetka: „jestem częścią świata”, to wie, że nie jest to zjawisko trwałe. Wszelkie bowiem doznania, odkrycia, intuicje, zwłaszcza te niezapisane w wierszu, znikają bezpowrotnie. Rzadko się dziś zdarza u poetów podobna samoświadomość, filozoficzne spojrzenie na świat, a co ważniejsze: sam podmiot liryczny umieszcza się w kontekście bardzo wielu skomplikowań twórczych, także egzystencjalnych.

Ten wiersz, jak i wiele innych utworów Cichli-Czarniawskiej, odznacza się precyzją, oszczędnością słowa, posuniętą aż do ascezy. Nie ma tu żadnych udiwnień. Co ciekawe, utwór nie staje się w niczym uboższy. Przeciwnie, łączy do większej ekspresji. I przy tym jest naturalny; wypływa z predyspozycji i postawy poetki, nie z jakiegoś z góry założonego konceptu. Ale tak mogą pisać tylko utalentowani poeci, którzy się nie rodzą... itd. ♦

Stefan Jurkowski

Poezja, wiedza, indywidualność

Problem granic poezji jest chyba tak stary jak piśmiennictwo. Zawsze były, są i będą jakieś – mniej lub bardziej ostre – granice pomiędzy tym, co bywa poezją, a tym, co zdecydowanie nią nie jest.

Obecnie pytanie to nabiera szczególnej ostrości, zwłaszcza w czasach, kiedy „pisać każdy może” i zanikły wyraźne kryteria oddzielające grafomanię od poezji. A poezja nie bywa łatwym produktem sentymentalno-czułostkowego rymowania. A więc czym jest?

Oczywiście, istniały pomyłki. Norwida uważano za dziwaka i grafomana, naśmiewano się z poezji awangardy czy futurystów, a potem te utwory były rehabilitowane; uważano je ze nowe, odświeżające prąd; za niezbędny postęp. Nie wszystkie eksperymenty zyskały uznanie, ale pamiętajmy, że dopóki żyją poeci, ich twórczość będzie ewoluowała. Dotyczy to takich twórców, którzy zostali liderami, mam na myśli choćby tylko Przybosa, Peipera, Brzękowskiego, a także Różewicza, który bardzo uprościł język poetycki: zwróćmy jednak uwagę, że jego język jest prosty, ale nie prostacki.

Powiedzmy wyraźnie, że pisanie poezji warunkuje wrażliwość, wycucie słowa, odwołanie niekiedy zużytych już obrazów, ale i kultura języka, wiedza o literaturze. No i to, co nazywamy talentem. Nie każdy erudyta czy znawca literatury jest w stanie napisać dobry wiersz; co najmniej stworzy zgrabną, poprawną konstrukcję.

Jakie są zatem kryteria dobrej poezji, owe granice, poza którymi mamy do czynienia z niezdarnymi elukubracjami poetyckimi autorstwa tych, którzy nie mają nic poza „chęciami szczerymi”?

I tu dochodzimy do sprzeczności, kiedy powiem, że poezja nie ma granic. Tak, ale rzeczywista poezja. I dalszy problem: jak ją rozpoznać? Ale w końcu wiemy co to jest banał, czułościwość, powielanie stereotypów, wszelkiego rodzaju „poetyczności” jak „kwiatuśki”, „motyłki”, „porywy serca”; narzucające się dydaktyzmy w rodzaju „bądź dobry”, czyli właściwie powtarzanie w sposób upoetyczniony całego dekalogu. Wiemy też, że Bóg za zło karze, dobro wynagradza, czemu nawiasem mówiąc sprzeciwia się świetny poeta i jezuita Wacław Oszajca tworząc zupełnie inną wizję. Wizję człowieka zagubionego, który jednak łączy do pewnej moralnej równowagi. Co w oczach Najwyższego, który bynajmniej nie jest mściwym sędzią, cenniejsze jest od strachu przed karą. W wierszach Wacława Oszajcy mamy do czynienia z odrzuceniem stereotypów, gier zastanymi kliszami estetyczno-dydaktycznymi, co często bywa plagą w wierszowaniu amatorów, najczęściej ulegającym porywom „szlachetności”.

I tu mamy jak na dłoni owe granice, poza którymi już nie ma śladów poezji, ale pusta, banalna retoryka. Poezja nie powinna „wzruszać” w potocznym znaczeniu tego słowa, ale zmuszać do refleksji, zaskakiwać niekonwencjonalnymi rozwiązaniami, które, uważa!, nie mają nic wspólnego z pustymi udiwnieniami. Nieraz zadaję sobie pytanie, czy sam autor rozumie to, co napisał.

Dzisiejszy łatwy dostęp do internetu, możliwość pokazywania szerokiemu ogółowi własnych wycupin, które niegdyś ukrywały się wstydliwie w kajeciku leżącym w głębi szuflady – to wszystko sprawiło, że to co czytamy w internecie a niekiedy i w prasie (a tam powinny istnieć jakieś kryteria) nie podlega żadnej weryfikacji. Utwierdza autorów w poczuciu ich własnej wielkości, a co najmniej niekwestionowanego talentu. Wszyscy mogą być Miłoszami, a kto to kwestionuje należy do tych, którzy dyskryminują autorów (dyskryminacja, to bardzo dziś modne słowo), bo przecież wszystkim wszystko należy się po równo, nawet talent, a już z pewnością możliwość publikowania.

Zapomina się zupełnie, że poezja (jak zresztą każda sztuka), to jednak fach, zawód, warsztat, sprawność. Dziś nie każdy adept sięga po lekturę, chce mu się podpatrywać to, co dzieje się i dzieło w literaturze. On wie lepiej. I tak „rozumkuje” wielu młodych pretendujących do miana poety. Jak im zatem wytłumaczyć, gdzie leżą owe granice, o których tu mówimy?

Na naszych oczach padają, głównie z finansowego głodu, ważne periodyki literackie. Robi się coraz bardziej pusto. A więc gdzie mają się zwracać autorzy wierszy po kompetentną ocenę, jak nie do własnego ego i facebooka, gdzie sobie można wszystko wklejać?

Kiedyś w „Kulturze” dział poezji prowadził Stanisław Grochowiak wraz ze Zbigniewem Jerzyną, w „Życiu Literackim” Tadeusz Śliwiak i Wisława Szymborska, w „Tygodniku Kulturalnym” Tadeusz Nowak, we „Współczesności” Krzysztof Gąsiorowski. Nawiasem mówiąc ciekaw jestem ilu poetyckim aspirantom te nazwiska coś mówią. Nie tylko same nazwiska, ale przede wszystkim utwory, które niestety – właśnie z braku szacunku władz dla kultury – sukcesywnie znikają ze świadomości czytelniczki.

Pytam więc, dokąd i do kogo adepci mają się zwrócić po ocenę ich prób literackich? A to było takie ważne usłyszeć od wybitnego twórcy uwagi, zasięgnąć rad... Tak się kiedyś „terminowało”. Można było bronić się skutecznie przed stereotypami, co niekiedy znaczyło przed samym sobą.

Widzimy, jak przesuwają się owe granice. Sami autorzy już nie dostrzegają u siebie (nie twierdzą, że to łatwe) pewnych mankamentów. Nie wiedzą, że powinno pisać się tak, aby odświeżyć język, nazywać zjawiska w taki sposób, w jaki jeszcze ktoś inny ich nie nazwał. Oczywiście, korzystamy z tego samego języka. Ale zmienia się postać rzeczy, kiedy popatrzymy na język niczym na kalejdoskop, w którym te same elementy zawsze układają się w nowych konfiguracjach. Reszta – jak powiadam – zależy od talentu, wiedzy, wyobraźni, umiejętności obracania owym kalejdoskopem, a także od pokory wobec siebie oraz literackiego tworzywa. ♦

Granice
poezji

Marian Kujawski

W obliczu śmierci

Wszystko zaczynało gnić, to znaczy zaczynało tracić swoją wagę, ważność. Czy to poranne śniadanie, czy to wyjście do miasta po zakupy albo po to tylko, aby wyjść, pobyc trochę między ludźmi. Wyjściem z tej sytuacji byłoby znalezienie w jakiejś parafii wypomóżek, to znaczy posługi na wezwanie, telefon, czy to w konfesjonale, czy przy ołtarzu, głównie w czasie wakacji, ale już nie z wizytami u chorych, bo tam mogą przecież znaleźć się jakieś nieoczekiwane pieniądze, a tych w parafiach zawsze było mało. Parafie zaczęły bowiem przypominać małe przedsiębiorstwa, a w nich przecież najważniejszy jest dochód, o który jest coraz trudniej, gdyż wydatków zawsze jest dużo.

Ksiądz Henryk po kilku nieudanych próbach, podjętych gdy poczuł się lepiej i nie miał tych cholernych zawrotów głowy, zrezygnował z kolędowania po parafiach, bo i znajomych proboszczów było coraz mniej i po tym wszystkim podchodzono do niego jak do jeża. Wiadomości o dziobaniu księdza Henryka rozchodziły się po wszystkich parafiach, a było ich co najmniej czterdzieści w całym mieście i najbliższej okolicy.

– Lepiej siedź w domu i odmawiaj brewiarz, a jak masz internet, to masz tam niezłe pole do popisu – poradził mu biskup i zaraz dodał:

– Żniwo wprawdzie wielkie i robotników coraz mniej, ale... sam wiesz, bracie. Ty też nie chciałbyś, żeby ktoś ci podawał owoce brudnymi rękami. Nawet na rekolekcje nie mogę cię wysłać, jak kiedyś. Poza tym, tam trzeba mieć zdrowie. Trzy, cztery takie kazania w ciągu dnia i to na dodatek takie same. Heroizm!

Pustka. Zawsza pustka.

– Siedzenie Buddy nic nie daje. Bezruch jest dobry tylko na chwilę – dyskutował w myślach ksiądz Henryk z tym coraz bardziej odległym w czasie guru Kali-Babą.

Tylko układanie się do snu, zasypianie miało jeszcze jakąś wagę, jakieś znaczenie, chciało się.

– A więc rzeczywiście świat jest takim jakim go widzimy, odczuwamy... Odejdziemy i nie będzie tego świata – myślał, wcale zresztą nie odkrywcz, ksiądz Henryk, nawet nie tłukąc się w swojej kawalerce, bo była zbyt ciasna, tylko siedząc w fotelu, którego jedna noga zaczynała się ruszać i trzeba ją było zastąpić stosem książek, których nawet nie chciało mu się przejrzeć podczas układania. Czasem te książki rozsypywały się, co wywoływało u księdza złość, choć powinno wywołać radość, że coś się wreszcie dzieje.

W końcu się zadziało.

Gwałtowny ból ogarnął całe ciało księdza Henryka. Zupełnie jakby jakieś paraliżujące medium wdarło się równocześnie do wszystkich komórek.

Ksiądz Henryk zgął się i zwał się na rozchełstany jak zwykle barłóg. Nawet nie mógł się lepiej ułożyć. Dobrze, że w jego kawalerce było tak ciasno, że nie mógłby zwał się na podłogę, chociaż, chociaż...

Po chwili, po bardzo długiej chwili poczuł jak to palące medium z niego wypływa,

zastępowane przez łagodne ciepło. Powoli zaczął tracić rozeznanie, najpierw wzrok, potem słuch.

– Dobrze, że mi, Panie Boże, dałeś choć łagodną śmierć – nie tyle wyszeptał, co wymyślał.

Przed szeroko otwartymi oczami, bo nawet ich nie miał siły zamknąć, przewijały się obrazy z całego życia, ale raczej z jego późniejszych okresów, co napawało optymizmem, bo jeżeli w takim seansie nie dochodzi się do czasów najmłodszych, to jeszcze jest nadzieja. Najwyraźniej, nawet z dialogami, w formie sceny, pojawił się obraz z Moniką. Było to na dwudziestych trzecich urodzinach, które wyprawił jej w pokoju hotelowym w Poznaniu.

– Musimy zerwać tę znajomość. Chcę być świętą – powiedziała nieoczekiwanie.

– Czy coś przeszkadza ci w osiągnięciu świętości? Za dużo ci chyba o tych świętych opowiadałem – próbował obrócić jej śmiertelnie poważną deklarację w trywialny żart.

– Cudzołóstwo.

– Cudzołóstwo? Dziewczyno! Przecież ja nie jestem żonaty.

– Ale tobie nie wolno.

– Nie wolno z punktu widzenia kościelnego, a nie Bożego. Zresztą nawet w Kościele są w tym temacie różne stanowiska... A jeśli chodzi o świętość, to można ją osiągnąć w życiu zgodnym z prawem Bożym. Najważniejsze, żeby nie krzywdzić. Najogólniejsza definicja grzechu to krzywda. Świętości nie przeszkadza seks, bo on też jest dziełem Bożym, choć jest żywiołem bardzo trudnym do opanowania. Jak każdy żywioł. Można go trochę przytłumić, wysublimować, aby nie był tak do samego końca, można przecież przerwać, najważniejsze, żeby nie krzywdził. Dobry, uczciwy seks, czyli z miłości, jest radością, a chrześcijaństwo to przecież religia radości.

– Specjalista od świętości! – prychnęła po chwili. – Ale ja już mam wszystkiego dość.

– Śniłaś mi się.

– Jak? – zaciekała się nieco.

– Miałaś taką małą, że nie mogłem wejść i zostałem na zewnątrz sam na sam z nim. Patrzyłem na niego i na nią zupełnie bezradny – opowiedział bez ogródek swój sen. Zresztą od pewnego czasu zawsze o tych sprawach mówił wprost.

Nie roześmiała się hałaśliwie i długo, jak to miała w zwyczaju, gdy świntuszyli, bo byli przecież bardzo bezpośredni. Nie uśmiechnęła się nawet, tylko powtórzyła poważnie:

– Chcę być świętą.

Zabrzmiało to groteskowo w całej tej sytuacji, ale to była jego wina, bo to on, nie mając innych tematów do rozmów, od czasu do czasu ją katechizował. Nie wiedział, czym zabawiać kobiety, w seminarium tego nie uczono, więc opowiadał życiorysy różnych świętych.

– Do jutra – ksiądz Henryk podszedł do Moniki i usiłował ją pocałować.

– Nie w usta – powiedziała, nadstawiając policzek. Zimny.

– Niech już tak będzie, jeśli trzeba.

Tę ostatnią kwestię wypowiedział bardziej normalnie, bez kaznodziejskiej pewności siebie.

Popatrzyła więc na niego jakby z pewną wdzięcznością, tymi swoimi wielkimi, brązowymi, krowimi oczyma. Wykorzystał to i pocałował ją jednak w usta. Nie zareagowała.

Jej wielkie, brązowe, krowie oczy wpatrzone były w jakiś punkt na ścianie. Patrzyła i nie patrzyła. Jak ta psycholożka-ofiara.

Jeszcze dwa razy scena ta przed oczyma księdza Henryka się powtórzyła, zacierając się jednak coraz bardziej. Tylko te wielkie, brązowe, krowie oczy, trochę przymrużone, patrzyły – nie patrzyły w jakiś odległy, już nie na ścianie, punkt. Czasem była to psycholożka. Ona też miała takie oczy, tylko mniejsze.

Potem to wszystko zalało się białobrazową kawą z mlekiem.

W pewnym momencie znów się zabarwiło i wydźwiczowało. Puszczą Amazońska. Barwne papugi, szczebiot dzieciaków, chrząkanie tapirów i kobiety na wyciągnięcie ręki.

I znów jakaś chmura zasłoniła słońce. Nie kawa z mlekiem, ale szarość, szarość gęsta i brudna jak ściiera do wycierania podłogi.

A jednak się wybudził. Z trudem, bo z trudem, jakby wyciągany z jakiegoś worka, z ciasnej nory, ale się budził.

Gdy doszedł do siebie, a był to proces długi, kilkanaście minut, godzina, dwie, czas się wtedy nie liczy, tylko cały proces, to ujrzał za oknem, a framugi okienne były jakby ramka fotografii, rozświetlone dzień, rytmicznie poruszające się liście klonu rosnącego przed domem i szarobrazowego wróbelka podskakującego na blaszanym parapecie. Ksiądz Henryk zaczął nawet słyszeć jak jego odziane w żółto-zieloną skórę, cieniutkie jakby z drutu nóżki stukają nierytmicznie o blachę.

Żadna kolorowa papuga, zwykły wróbelek. ♦

Magdalena Łubkowska

HAIKU

leśna polana
na rozgrzanym liściu
garść malin

poranny deszcz
pomiędzy tobą i mną
niezapominajki

lato w pełni
pomiędzy nami
cień jabłoni

przerwany sen
między nocą a dniem
lipcowa burza

letni wieczór
w oknie szpitala
jej smutne oczy

Dorota Czerwińska

KRUS

Czy Boryna był kiedyś w lipcu na wakacjach,
czy tylko w zbożu młócił, kupował korale
i chusty najpiękniejsze, a na chustach kwiecie,
do tego oczka pawie i motylki jakieś
takie z lekka ciężkawe, wełniane nieloty.

Czy Boryna pakował plażowe galoty,
mały żółty pontonik, lekki parawanik?

Stary Maciej był chłopem mocno przywiązanym
do tradycji, do pola, do lasów zielonych
- w nich jesienią niechętnie znajdował poroże.

Czy raz chociaż miał w lipcu wakacje nad morzem?

W Lipcach – zawsze.
Wakacje – wyraz mu nieznan.

Igor Frender

Akt komunisty na wsi

Ptak złożył skrzydła.

Przechodniom z butów wystawała słoma.

Na polu, w białej koszuli z czerwonym krawatem,
strach na wróble reprezentował wolność.
Dygotał pod naciskiem ludzkich spojrzeń.

Słoneczniki pokłoniły kwiaty.

Gdy zachodziło słońce,
zmierzone i wyliczone, co komu się należy.
I nic.

Gdakały kury, schował się kogut,
a konsensus zawisł na płocie.

Potem złodziej uciekł do lasu.

O świcie ludzie, bez wyboru, wyruszyli do pracy.

Stefan Jurkowski

Tak myślę

nie wszystek czy wszystek umrę
mało mnie obchodzi
choć wolałbym spacerować
po warszawie odwiedzić kraków
posłuchać morza

pewien znajomy powiedział
surowo patrząc mi w oczy:
– nie ma rzeczy niemożliwych
są tylko tajemnice –

wiara i wiedza
pokłócone siostry bezustannie
szukają szans pojednania

więc jeśli dowiem się że
komar którego zabiłem na przykład w 1966 roku
(nomen omen w tysiąclecie chrztu polski)
ma duszę nieśmiertelną
będę wickuiście pokąsany

Marek S.Podborski

Po cenie

Jedna chmur ka psu lka
życie ci odmieni, da wita
miny i potrzebne związki
a jeszcze przy tym elementy
makro i mikro
a średnio najbardziej

Połknij ją zawsze po lekkim
śniadaniu, a ominie twój dom:
duet Świadców Jehowy,
obornik w workach, sprzedawca
dywanów, także pani z tackami
fermowych jaj (bez pieczętek),
i wydziaran y inkasent

Energia pojawi się sensu
alna, myślenie proste
widzialne znaki szczęścia
afarmakologicznego
w dawkach prawie maksymalnych
w umiarkowanym klimacie

Amelia Pudzianowska

Słodycz

Już cicho na sercu, już leży płasko,
Już się oczy łuska drażnią.
Dorastam wciąż do wieku ciała,
Ciało dorasta do wieku świata.
Dziś rozstrojona jak powierzchnia ciasta z kruszonką,
Dziś wita mnie słońko, co policzone ma lata.
Biorę życie w ratach, biorę życie na kredyt
I szczęście opłacam w stratach, aż poznam niebyt. Albo byt,
Wielkiego Komornika co zajmie mi serce. Rozkładał ręce i nie
wiem, czy ktoś wpadnie w moje ramiona, czy będę taka
rozłożona, na atomy atomów, cząsteczki cząsteczek.

Serce leży płasko, serce jak cukiereczek w piasku.

IRONIE

Adam Michalak

Pina Colada

Dmuchanym flamingiem
różowym jak jej bikini
kołysze seria fontann
spiralnie rozpędzonych termami

w rytmie techno
dziesiątki ramion
rozkołysane taflą basenu
przyciągają polimerowe palmy

muskają błękit wyidealizowany
silikonowym dekoltem lalki
boskie od botoksu usta
spijają drinka a la jacuzzi
przez słomkę zjeżdżalni

wyciągając szyję flamingowi
najprawdziwsze lato
pręży mięśnie młodzieńców
zahipnotyzowanych wdziękami
misses plastik

Szymon Florczyk

łuna nad miastem

promieniowanie, smog? pożar? z lotu satelity
Navel przypominało gniazdo termitów
nakryte dwoma kloszami. perspektywę mieszkańców
terroryzowały ogniste fale, huraganu tańce, które byłyby
karą za nieprawości. choć przyjmowało się wyjaśnienie
o niezależnej światopoglądowo komecie, w galarecie lęku
tkwiła również półpewność chemtrailsowego podstępu,
złuszczenia kopuły made in NASA albo
przeszmuglowania grodu, ot, w czwartą
lub siódmą gęstość. czyżby
postanowiono wyróżnić miasto?

*
w końcu badacze
ogłosili wyniki analizy zjawiska:
nabrzmiała i eteryczna
dupa uniwersum. tam znalazło się Navel,
a najpewniej - było tam zawsze.

Jacek Jaszczyk**List z emigracji LXV**

1.
Przestrzeń zardzewiałych klifów, rumowisk, krawędzi,
ukryty w groblach ból skorupiaków, kości wielorybów.
Przepastne zimne promienie ujadające jaskrawym pulsem,
który rozumieją jedynie odnajdujące nasze ślady turkany.
2.
Świt pęcznieje na łądach traw i jest tak soczysty,
że zdjąć można z niego łagodne nitki szeleszczącego lata.
I wtedy rodzi się Irlandia rozciągnięta jak rozwichrzone
włosy huraganu, wypadłe lewitującym bożkom z tuniki.
Statki rozcinają równiny Atlantyku między nami jak struny,
na których tańczą dawne pieśni, tajemnice kanionów i prerii.
3.
Pochód beczących owiec wypuszczony na pastwę horyzontu,
w porzuconej sierści lipca przeżuwa napotkaną kozią śmierć,
gdzie obłok słońca wstaje nieudolnie od sekretnych tysiącleci
i różowieje w dziobach gniazdujących w łęgowskich snów.
Ospale wybudzony z dalekich podróży ciepłem ognisk,
między którymi przetacza się półmartwa spopielona tęcza,
przywrócona do życia wilgocią zmurszałych kopców
rękoma Celtów, których los przypomniął blaszany gwizdek
i ogień łagodnego światła drżącego w łusce zachwyty,
zatrzaśniętym w oknie udomowionego wszechświata.
4.
W półżywych zdaniach wydartych na oślep z ciała słowa,
żyłami wiersza przetaczającego sumienie twojej niepamięci,
obsypany wilgocią kruszcu wyjętego z granitowej pięści,
oddycham skrzypem okiennic, archaicznym językiem niebycia.

Grzegorz Zientecki**Kotwicząc na redzie Rabaul**

Zjawili się nagle jak duchy przodków
Matka i dziecko w prostej dłubance
Kobieta wiosłowała delikatnie nie kalecząc wody
A dziecko chyba spało
Patrzyłem na nich nie tyle z drugiego piętra nadburcia
Co raczej z innego wymiaru czasu
Przybysz z epoki globalizacji i chaosu

Drzewo niosło ich przez życie
Jak nas, ludzi Północy niesie przez śmierć

Katarina Lavmel**Okno**

Z okna domu na lombie wiele widać
statek na kotwicy platanową aleją biegnie kot
sąsiadka ścina kwiaty do wazonu

To niemetaforyczne okno na świat
ale stara kobieta oparta na parapecie nieczęsto marzy
za to zastanawia się kto dostarczy jej dziś chleb
Drzwi kościoła są zamknięte
Bliżej jej stąd do Boga niż do wiejskiego sklepu

Bruzdy na twarzy rozświećla zachodzące słońce
duszno ale cykadki już grają w dolinie
Uśmiecha się do siebie - niebo zwiastuje kolejny pogodny dzień
gminnym busem dowiozą jej jutro zakupy
prosto pod próg

Gregory Spis**Z nieodbytej podróży do U.S.A.**

Lipiec, The Land's End, Cornwall dla Carmen

leżąc na plaży
trzymałem nad głową
foliowy worek śniadaniowy
chciałem złapać
zachodzące słońce
gdy ono wolniutko wśliznęło się
do środka
zerwałem się szybko
by zanieść je do domu
na zawsze
ale słońce
rozsadziło worek
tonąc miękko
gdzieś w Celtyckim morzu
frywolne
takie jest amerykańskie słońce
zawsze wolne

Zbigniew J. Derda**ostatnia butelka na haight-ashbury**

słońce wisi nad ulicą jakby nie chciało zejść
a ja i ona pijemy na krawężniku rzeczywistości
miała w oczach mgłę wodospadów
które nigdy nie znalazły swojej rzeki

śpiewała mi o rewolucji która nadejdzie
jak burza ale była tylko letnim deszczem
więc piliśmy by nie czuć jak
świat zaszywa nam usta śmiechem

wódka smakuje jak manifest
ale gdzie podziały się ulice wypełnione snem
może były tylko iluzją
szkłem które rozbiło się pod stopami

Adam Michalak**Lalyssos**

Zjednoczony z turkusową falą
odgaduję błękit
w oczach bawiących się dzieci
żar zachodów

spojrzenia tubalnymi wersami
zapisane na rafach hoteli
wyceniają ławice trące się
last minute

kitesurferzy przypominają liście
o których zapomni
błądzący brzegiem
wieczornej ciszy wiatr

ze zmierzchem bryza
wschodzącej w morze Egejskie
rybackiej łodzi zarzuca sieci
łowiąc pary wpatrzone w horyzont

kilku letników mocuje się
z bałwanami
odpływa kraulem
na grzbiecie gór drzemiący Helios

Dziwak (1)

W południowej części dość gęsto zalesionego Podlasia, w jego sennym krajobrazie znajdowała się wieś o miłej nazwie „Dobra”. Nieraz zastanawiano się czy nazwa pochodziła od cech ludzi, którzy w tej wsi mieszkali, czy zdecydowały o tym inne okoliczności dotyczące tego miejsca. Jej obecni mieszkańcy byli przekonani, że nazwa jest właściwa, bo dobrze się tu czuli. Wieś od północy i południa otoczona była lasami, a po jej wschodniej i zachodniej stronie ciągnęły się pola uprawne i pastwiska. Na wschodzie ich granicą była szosa wiodąca do oddalonego o piętnaście kilometrów miasta, jakim był Bielsk Podlaski, a na zachodzie były nią stawy rybne należące do najbogatszego gospodarza Struzika, który oprócz nich miał jeszcze młyn i największą część gruntów. Jego elegancka dwupiętrowa willa zdecydowanie wyróżniała się na tle skromnych przeważnie zabudowań pozostałych mieszkańców.

Dobra przypominała swoim kształtem wrzeciono. Była bardziej rozbudowana w środkowej części, gdzie znajdował się kościół, urząd sołtysa, poczta i sklep wielobranżowy, podczas gdy po jej północnej i południowej stronie wzdłuż drogi ciągnął się tylko wąski pasek pojedynczych zabudowań. Dobra była typową ulicówką. Jej droga wewnętrzna dzieliła wieś na dwie części położone po obu jej stronach. Ta droga zaczynała się i kończyła lasem, i jako taka służyła jedynie jej mieszkańcom. Kontakt z dalszym otoczeniem stanowiła droga wiodąca z centrum wsi do szosy będącej drogą krajową, gdzie kursowały autobusy. Było to jedyne okno na świat dla mieszkańców wsi. Droga do szosy była krótka, miała niecałe cztery kilometry. Na jej skrzyżowaniu z szosą był przystanek autobusowy. To stąd mieszkańcy Dobrej mogli wyruszać w podróż do większych ośrodków cywilizacji, czyli do Bielska Podlaskiego, a nawet do Białegostoku. Tą drogą do przystanku ludzie docierali na piechotę. Jedynie dla dwóch mieszkańców wsi ten przystanek nie miał znaczenia w kontakcie ze światem, ponieważ posiadali samochody. Był to wspomniany Struzik, posiadacz Mercedesa beczki, i trochę mniej od niego bogaty Piotrowski, mający srebrzyste Subaru. Dobra była zwyczajną wsią zagubioną w lasach, w której żyli zwyczajni ludzie zajęci swoimi sprawami.

Najdalej na północ wysuniętą częścią wsi była zagroda Kowalczyka, stykająca się niemal ze zwartą ścianą lasu. Dom i całe obejście czyniło smutne wrażenie. Dom był parterowy, z czerwonej cegły, która z czasem poczerwiała, a grdzieniedzie porośla mchem. Na podwórku chyliły się do upadku drewniane budynki: stodoła, stajnia i obora, od dawna nie spełniające swoich funkcji. Kowalczyk już nie trzymał w stodole zboża, w stajni konia, a w oborze bydła. Żył inaczej niż pozostali mieszkańcy wsi. Ziemię oddał państwu, za co otrzymał emeryturę. Koni i bydło nie były mu już do niczego potrzebne. Wyjątek zrobił tylko dla kur, które dostarczały mu jaj i od czasu do czasu mięsa. W części podwórka, bliżej lasu, zrobił sobie ogródek warzywny na własne potrzeby.

Kiedyś było inaczej. Zagroda Kowalczyków tętniła życiem, a jej mieszkańcy mieli ręce pełne roboty. Miał jednak kto robić. Kowalczyk był młodszy, jego żona Anna była kobietą przywykłą

do ciężkiej pracy w gospodarstwie i były jeszcze dzieci: pierworodny Wiktor, Adam i najmłodsza Krysia. W miarę jak rosły, były coraz bardziej użyteczne w gospodarstwie. Wszystko skończyło się wraz ze śmiercią Anny. Dzieci, jedno po drugim opuszczały Dobrą. Wiktor i Krystyna zamieszkali w Białymstoku, a Adama wyniosło nawet do Niemiec. Kowalczyk pogodził się z ich odejściem i nawet nie był specjalnie ciekawy jak im się życie układa. Dopiero kiedy został sam odkrył, że ma duszę samotnika. Było mu dobrze, że z nikim nie musi się liczyć, nie musi dbać o nikogo i może żyć tak, jak mu wygodnie.

Tak całkiem sam zresztą nie był, bo wiernie mu towarzyszył pies Cezar, owczarek alzacki. Wszędzie chodzili razem, nawet do sklepu i na leśną przechadzkę. Jedynie wtedy, gdy Kowalczyk szedł cztery kilometry do szosy na przystanek autobusowy, wybierając się do Bielska, kazał psu zostać w zagrodzie. Cezar wtedy skomlał i kręcił łbem, ale posłusznie nie opuszczał obejścia. Kowalczyk co pewien czas jechał do miasta, aby odwiedzić tamtejszą bibliotekę. Był zapalonym czytelnikiem książek. Czytał wszystko, bo wszystko go interesowało, ale najbardziej lubił książki przygodowe i sensacyjne. Ten nawyk kompulsywnego czytania pojawił się u niego już w szkole podstawowej. I chociaż skończył tylko szkołę zawodową, z bogatej i różnorodnej literatury czerpał wiedzę, którą często zaskakiwał ludzi.

Być może jego odczytanie mogłoby być powodem autorytetu Kowalczyka wśród mieszkańców Dobrej. Tak jednak nie było ze względu na to, że stronił od ludzi. Dawniej, gdy jeszcze prowadził gospodarstwo, było to mniej widoczne, bo chcąc nie chcąc musiał częściej stykać się z ludźmi. Kiedy jednak został sam, niemal całkowicie odciął się od wszelkich kontaktów. Dlatego nie był na wsi lubiany; nazywano go Mędrkiem lub Psiarzem, ze względu na nieodłączne towarzystwo Cezara. Powszechnie uważano go za dziwaka. Społeczność wiejska potępiła go ostatecznie, gdy odmówił przyjęcia księdza podczas kołеды. Kowalczyk przyjmował księdza i chodził do kościoła, gdy żyła Anna, która tego chciała. Ale kiedy pozostał sam, odważył się powiedzieć proboszczowi, że jest ateistą. Na wsi został uznany za odszczepieńca.

Kowalczyk szedł do sklepu. Zakupy robił co drugi dzień i trzymał się tego konsekwentnie, bo lubił w życiu regularność. Ubrany był jak zwykle niechlujnie. Na nogach miał rozchodzone gumowce, w które wpuszczone były od dawna nieprane spodnie robocze. Ubioru dopełniała kraciasta flanelowa koszula, na którą naciągnięta była bluza od dresu. Lepiej Kowalczyk się ubierał tylko wtedy, gdy jechał do miasta. Ze swoją siwą potarganą brodą i rzadkimi choć długimi włosami, które zlepionymi strakami opadały mu na ramiona, miał wygląd menela. Dopiero jutro będzie bowiem sobota, dzień tygodnia, w którym Kowalczyk mył się w miarę gruntownie.

Tuż przy jego nodze szedł z godnością Cezar. Nie reagował na zaczepki spotykanych po drodze psów, które oszczekiwały go z zapalem w poczuciu bezpieczeństwa, będąc za płotami mijanych zagrod. Cezar nie zaszczepiał ich choć

by jednym spojrzeniem, czujnie wpatrzony w drogę do sklepu. Przed sklepem, w którym kupić można było wszystko, od pieczywa po narzędzia przydatne w gospodarstwie, jak zwykle stała grupa mężczyzn, pijących piwo i rozprawiających na każdy temat. Na widok Kowalczyka z psem, jeden z nich, Owczarek, krępy, dobrze zbudowany mężczyzna z ogorzałą twarzą i burzą ciemnych, kręconych włosów na głowie, odezwał się z ironicznym uśmiechem:

- Co ty, Kowalczyk boisz się nas, że zawsze z psem chodzisz? Nie bój się, chłopie. Kto by tam chciał się z tobą szarpać.

Zaraz też odezwał się stary Olczyk, zwany „złotą rączką”, który oprócz gospodarstwa miał jeszcze warsztat, w którym świadczył usługi mieszkańcom wsi, naprawiając rozmaite maszyny i sprzęty:

- Mówią, że jesteś najmądrzejszy we wsi. No to powiedz czy będzie susza tego lata?

Kowalczyk przemilczał te zaczepki i wszedł do sklepu. Cezar zatrzymał się przed drzwiami i siadł na tylnych łapach. Spojrzał na chłopów, którzy teraz głośno się śmiali robiąc przytyki pod adresem Kowalczyka. Cicho warknął lekko obnażając kły.

Kowalczyk kupił chleb, wędliny i kilka butelek piwa. Gdy wyszedł ze sklepu Cezar się poderwał i razem bez pośpiechu skierowali się w stronę domu. Kilka posesji przed domem Kowalczyk zauważył starą Balcerzakową stojącą przy płocie obejścia, które teraz, po śmierci jej męża należało do jej syna Michała. Michał Balcerzak nie lubił Kowalczyka, którego uważał za dziwaka i zadzierającego nosa mola książkowego. W przeciwieństwie do niego, jego matka zawsze była dla Kowalczyka miła i często starała się z nim nawiązać rozmowę, czego on nie lubił. Teraz też już z daleka się do niego uśmiechała. Kiedy się zbliżył, ukłonił jej się grzecznie:

- Dzień dobry, pani Balcerzakowa.

- Dzień dobry, panie Kowalczyk – odpowiedziała i oczywiście na tym nie poprzestała. - Musi być panu smutno tak żyć samotnie. Powinien się pan rozejrzeć za jakąś kobitą. Bez baby chłop się marnuje.

- Nie jest tak źle – z uśmiechem odpowiedział Kowalczyk i poszedł dalej nie zatrzymując się w obawie przed kontynuowaniem rozmowy. Balcerzakowa coś jeszcze powiedziała, ale Kowalczyk szczęśliwie już się oddalił.

Dochodził do swojej furtki, gdy przez otwartą bramę sąsiedniej posesji z piskiem opon wypadło na drogę srebrzyste Subaru, wznosząc tuman kurzu. W samochodzie siedział sąsiad Kowalczyka, Piotrowski. Był to kreujący się na nowoczesnego gospodarza, zarozumiały i pewny siebie dość młody jeszcze mężczyzna. Kiedyś mieli z sobą małe ścięcie. Piotrowski należał do koła łowieckiego i od czasu do czasu chodził do lasu na polowanie. Pewnego razu spotkał tam Kowalczyka z psem, który swobodnie, bez smyczy, towarzyszył jak zwykle swojemu panu.

- Chodzenie po lesie z psem jest niedopuszczalne, a szczególnie gdy nie jest trzymany na smyczy. On stanowi zagrożenie dla leśnej zwierzyny. Gdyby się choć trochę od pana oddalił, będę miał prawo go zastrzelić – Piotrowski aż się zaczerwienił ze złości, groźnie potrząsając dubeltówką.

- Sąsiedzie, niech pan się uspokoi. On idzie spokojnie przy nodze i nie rzuci się na żadne zwierzę, chyba, że mu to każe, ale nie mam takiego zamiaru. W przeciwieństwie do pana wolę żywe zwierzęta niż martwe – odpowiedział spokojnie Kowalczyk.

Szczególnie to ostatnie zdanie doprowa-

dziło myśliwego do jeszcze większej furii, bo przez jakiś czas siedł za Kowalczykiem rzucając swoje groźby. Od tego czasu sąsiedzi patrzyli na siebie wilkiem i unikali wszelkich kontaktów, co samotnikowi, jakim był Kowalczyk, było na rękę.

Oprócz Piotrowskiego, we wsi było jeszcze kilku myśliwych, wśród nich ksiądz proboszcz. Kowalczyk ich wszystkich widywał, bo latem często spotykali się u Piotrowskiego na grillu. U sąsiada było wtedy wesoło i głośno, bo im dłużej trwało przyjęcie, tym swobodniej goście się zachowywali. Cała wieś wtedy wiedziała, że bawią się myśliwi. Podwórko Piotrowskich świeciło lampionami. W ich blasku widoczne były myśliwskie trofea gospodarza: poroże jelenia nad drzwiami wejściowymi i wypchane dwa bażanty przytwierdzone do ściany na ganku. Czując zapach smażonej dziczyzny, Kowalczyk nie czuł apetytu, tylko mdłości.

- No, pędź Cezar, pobiegaj sobie – Kowalczyk klepnął psa po grzbiecie, a ten wyrwał się na podwórko, płosząc kury.

Kowalczyk wszedł do domu i zajął się przygotowaniem obiadu. Obrął ziemniaki, pokroił słoninę i rzucił ją na patelnię. Z lodówki wyciągnął garnek ze zsiadłym mlekiem. Gdy ziemniaki się ugotowały, oblał je tłuszczem z patelni i zaczął jeść, popijając zsiadłym mlekiem. Kiedy skończył, wrzucił resztę tłuszczu do garnka z kaszą stojącego na piecu, wymieszał i przelożył do miski dla psa. Wyszedł na podwórko i zawołał Cezara, który i bez tego ruszył gwałtownie w jego kierunku, widząc swoją miskę. Kowalczyk resztę ziemniaków i kaszy wysypał na podwórko dla kur.

Nakarmiwszy siebie i swój nieliczny żywy inwentarz, Kowalczyk wrócił do domu, rozsiadł się w swoim ulubionym fotelu i sięgnął po książkę. Tym razem była to oparta na faktach powieść Roberta Harrisa „Oficer i szpieg”. Kowalczyk czytał powoli, często wracając do fragmentów, które wywarły na nim szczególne wrażenie. Można powiedzieć, że smakował tekst, całkowicie izolując się od rzeczywistości. Oczyami wyobraźni widział opisywane sceny. Teraz przejęty był manipulacją francuskiej generalicji w końcu XIX wieku, której ofiarą był niewinny zarzucanych mu czynów oficer Dreyfus.

Ciepłą porą wieczorami Kowalczyk lubił przesiadywać na drewnianym fotelu przy wejściu do domu. Dom, jak wszystkie starsze budynki wiejskie otoczony był przy podmurówce ziemnym wałem, zwanym przyzbą, na którym dawniej lubili siadać mieszkańcy. Kowalczyk wołał jednak fotel. Zawsze przy nim leżał Cezar, któremu Kowalczyk zrobił tu posłanie ze starego koca. Słychać było szum bliskiego lasu i słabnące odgłosy usypiającej wsi. Kowalczyk pijąc niespiesznie piwo lubił wcielać się w bohaterów przeczytanych książek. Wyobrażał sobie, że uczestniczy w ich przygodach i zawsze wychodzi cało z licznych opresji. Najbardziej lubił bowiem czytać książki o żywej akcji, a tacy autorzy, jak Forsyth, Ludlum, McLean i Follet dostarczali mu inspiracji do marzeń, przenoszących go z szarej rzeczywistości do barwnego świata fascynujących przygód. Był to świat, o którym lubił marzyć, ale nigdy nie chciałby w nim żyć. Dlatego był wdzierczy książkom, że dzięki nim mógł żyć tak, jak chciał, spokojnie i bezpiecznie, a jednocześnie przenosić się do tej innej fantastycznej rzeczywistości.

Siedział na fotelu, który pamiętał czasy gdy w tym domu mieszkali jeszcze rodzice Anny, a ona sama tu się urodziła, by po pięćdziesięciu pięciu latach również tu umrzeć na raka piersi.

Kowalczyk zamieszkał tu zaraz po ślubie, bo u teściów było znacznie więcej miejsca niż w jego domu rodzinnym we wsi oddalonej o czternaście kilometrów na południe od Dobrej. Dotychczas mieszkał tam wraz z rodzicami, babką, trzema braćmi i dwiema siostrami. Jako najstarszy spośród swojego rodzeństwa pierwszy wyniósł się z domu rodzinnego.

Początkowo dom teściów stawał się coraz bardziej zaludniony, bo jego dzieci szybko się rodziły, jedno po drugim. A potem stopniowo zaczął się wyludniać. Najpierw umarł teść, potem teściowa. Dzieci, gdy dorosły, nie chciały mieszkać na wsi i po kolei wynosiły się do miasta. Wreszcie, po ciężkiej chorobie umarła żona i Kowalczyk został sam.

W tej swojej samotności zaczął odkrywać nowe, nieznane mu wcześniej odcienie życia. Las przestał być dla niego płataniną drzew i zarośli, a stał się skarbnicą dźwięków, z których był w stanie wiele się dowiedzieć. Na przykład czy wieczorny szum drzew zapowiada deszcz, czy pogodę; kiedy ryk jeleni oznacza ich radość, kiedy smutek, a kiedy niepokój; że wzmożony jazgot ptaków zwiastuje wczesną i mroźną zimą, a głośne trzaski przedzierających się przez zarośla dzików świadczą o ich trudnościach w znalezieniu pokarmu. Tak odgłosy dobiegające z lasu tłumaczył sobie Kowalczyk i nikt nie byłby w stanie przekonać go, że się myli. Kiedyś wspominał o swoich odkryciach w grupie osób oczekujących wraz z nim na przystanku autobusowym, ale go wyśmiano. Od tego czasu już nikomu nie mówił o znaczeniu leśnych odgłosów.

Drugie istotne odkrycie, którego w samotności dokonał Kowalczyk, to przekonanie, że ze zwierzętami można się porozumieć i to niekiedy lepiej niż z ludźmi. To porozumienie nie potrzebuje słów, a nawet gestów. Wystarczy spojrzenie, a taki Cezar natychmiast wie, czego się od niego oczekuje. Chodząc po lesie, Kowalczyk zauważał, że dzikie zwierzęta nie uciekają przed nim, gdy swoim spojrzeniem i łagodnością ruchów przekazuje informacje, że nie ma wobec nich złych zamiarów. Tak zachowało się kiedyś stado dzików, z którymi minął się na wąskiej leśnej przecince. Nawet płochliwa sarna pozwoliła mu podejść do siebie i dopiero, gdy wyciągnął rękę, żeby ją pogłaskać, odwróciła się i wolno pobiegła w głąb lasu.

To odkrycie zasadniczo zmieniło jego stosunek do zwierząt. Dawniej traktował je jak inni mieszkańcy wsi uważając, że zwierzęta są po to, aby służyć człowiekowi. Mają mu dawać mleko, jaja i mięso, a także pierze, skórę, futro i wełnę. Pies ma pilnować obejścia, a kot łowić myszy. Zwierzę, które nie daje żadnych korzyści można zabić, bo niepotrzebnie zajmuje miejsce na ziemi. Przemiana, która się w nim dokonała sprawiła, że zaczął traktować zwierzęta jak równe sobie i stał się przeciwnikiem polowań oraz złego traktowania zwierząt domowych. Jedno mu w tym przeszkadzało, a mianowicie nie mógł się odzwyczaić od jedzenia mięsa, chociaż próbował to zrobić. Wreszcie przekonał sam siebie, że człowiek należy do mięsożernego gatunku wśród ssaków.

Wczesnowieczorową porą Kowalczyk jak zwykle siedział przed domem, mając przy sobie wyciągniętego leniwie Cezara. Wiejący od północy wiatr przynosił zapach leśnego igliwia. Na przecinającej wieś drodze, na której przy obejściu Kowalczyka rzadko kto się pokazywał, tym razem przejechał na rowerze wracający z lasu Maciaszczyk. Pokiwał Kowalczykowi ręką, a Kowalczyk mu odpowiedział. U Maciaszczyka

zaopatrywał się w świeże mleko i cenił sobie to, że ten gospodarz także do gadatliwych nie należał. Transakcja kupna – sprzedaży odbywała się szybko, bez kłopotliwej gadaniny.

Wieś wyraźnie układała się do snu. Jeszcze gdzieś zaryczała krowa i zaszczekały psy, ktoś w oddali krzyknął, a ktoś inny mu w ten sam sposób odpowiedział. Kowalczyk lubił ten czas. Jak zwykle wracał wtedy myślą do przeczytanych książek i wyobrażał sobie, że uczestniczy w jakiejś zapamiętanej akcji. Myśląc o tym, niekiedy się zapominał i wykonywał jakiś gwałtowny ruch, budząc Cezara, który reagował na to wymownym pomrukiem niezadowolenia.

Kowalczyk nie dbał przesadnie o swój dom, a prawdę mówiąc nie dbał o niego wcale. Owszem, starał się utrzymywać jakiś taki porządek w kuchni, bo bez tego miałby trudności z codziennym przygotowywaniem posiłków dla siebie, Cezara i kur. Więc zmywał naczynia i starał się przechowywać produkty żywnościowe w sposób zabezpieczający je przed zepsuciem. Dalej się nie posuwał. Nie mył kuchenki, która zarosła brudem i dawno straciła swój pierwotny biały kolor. Nie zadawał też sobie trudu, żeby myć podłogę, która przypominała klepisko, i szyby w oknie, przez które coraz trudniej było zobaczyć podwórko. W sypialni, w której od dawna zaprzestał ścielić łóżko, było nieco czystiej, bo bywał tam tylko w nocy. Pościel zmieniał raz na miesiąc. Do salonu, gdzie miał swój fotel, chodził tylko czytać książki. Na szafce stał tam stary telewizor, który się popsuł wkrótce po śmierci żony, a Kowalczykowi nie chciało się go naprawić, chociaż mógł się z tym zwrócić do Olczyka. Nie zrobił tego, bo rzadko oglądał coś w telewizji, wołał czytać książki. Więc zepsuty telewizor wciąż na tej szafce stał i obrastał kurzem. Zresztą we wszystkich pomieszczeniach na meblach piętrzyła się gruba warstwa kurzu, bo nie przyszło mu do głowy, aby go usunąć. Bo po co to robić, skoro po paru dniach znów się pojawi? Trzeba byłoby stale wycierać te meble, a to przecież robota głupiego. Tym bardziej zbędna, że przecież nikt go nie odwiedzał, więc przed nikim nie musiał się wstydzić wyglądu swojego domu.

Kowalczyk był człowiekiem niemal całkowicie pozbawionym inicjatywy. Przez całe życie żył z dnia na dzień, zdając się na innych w podejmowaniu jakichkolwiek decyzji. Gdy Anna zachorowała i czuła się coraz gorzej, nie przyszło mu do głowy, że powinna pójść do lekarza. Nie pomyślał o tym, bo jego żona, zawsze przezorna i myśląca o innych, tym razem lekceważyła swoje dolegliwości, oddając się pracy w gospodarstwie. „Samo przyszło, samo pójdzie” – mawiała bez troski. Dopiero gdy choroba tak ją osłabiła, że nie mogła wykonywać swoich codziennych czynności, pogotowie zabrało ją do szpitala. Przyjmujący ją lekarz, po badaniach, nie mógł zrozumieć dlaczego zgłosiła się tak późno. Z gniewem zwrócił się do Kowalczyka:

- Jak pan mógł do tego dopuścić? Teraz to wątpliwe, żebyśmy mogli jej pomóc.

I rzeczywiście, nie pomogli. Anna wkrótce zmarła, a Kowalczyk nie chciał przyjąć skierowanej do niego pretenzji ze strony lekarza. Przecież to Anna decydowała zarówno o innych, jak i o sobie.

Kowalczyk skończył szkołę zawodową o profilu mechanicznym. Mógł podjąć pracę w zakładach metalurgicznych w Bielsku lub w Białymstoku, ale bał się samodzielnego życia,

dokończenie na str. 22

Dziwak

dokończenie ze str. 21

więc wrócił na wieś do rodziców, aby pracować w gospodarstwie. Także później, gdy się ożenił i zamieszkał u teściów, nie zmienił swojego stylu życia: bez zmian, bez ryzyka i z dystansem do ludzi. Kowalczyk żył życiem bohaterów przeczytanych książek. To oni za niego przeżywali rozmaite przygody, podejmowali ryzyko i dokonywali radykalnych zmian w swoim życiu. Kowalczykowi wystarczało, że czytał o czymś aktywnym życiu, sam nie zamierzał być aktywny. Był odludkiem i nie chciał nikogo naśladować. Chciał mieć spokój i czytać ciekawe książki. Czasami miał wyrzuty sumienia, że tak bardzo różni się od innych ludzi, tych ambitnych, zapobiegliwych, robiących rozmaite kariery. Często z tego powodu przytyki czyniła mu żona. Źle również znosił uwagi ludzi, którzy go znali. Szybko jednak pozbywał się poczucia winy. Dlaczego miałby mieć do siebie pretensję, skoro mu z tym brakiem aktywności było dobrze. Był ciekawy świata, ale po co miałby w tym celu studiować i uczyć się obcych języków, żeby wziąć udział w jakiejś ekspedycji naukowej do Afryki czy na Antarktydę, jeśli może o tym przeczytać w licznych książkach, w których znajdzie znacznie więcej informacji aniżeli byłby w stanie uzyskać, gdyby pojawił się tam osobiście. Wczuwał się w perypetie bohaterów książek, siedząc wygodnie w swoim fotelu i popijając piwo lub kawę.

Można więc powiedzieć, że Kowalczyk żył w innym świecie. W tym rzeczywistym starał się robić tylko to, co musiał. W tym wyobrażonym nie musiał robić nic, aby się czuć herosem.

Po porannej lekturze ze szklanką kawy, nakarmieniu Cezara i kur, Kowalczyk nieśpiesznie udał się do swojego warzywnego ogródka, aby wykopać trochę ziemniaków i uciąć główkę kapusty, tak aby starczyło na kilka obiadów. Podchodząc do ogródka zauważył, że część płotu odgradzającego podwórkę od lasu całkowicie się rozleciała. Płot został naruszony w zeszłym roku podczas letniej burzy. Pochylił się wtedy w stronę lasu, wisząc między dwoma podtrzymującymi go słupami. Teraz uwolnił się od nich i leżał na trawie bezwstydnie wystawiając na widok swoje zmurszałe sztachety.

Kowalczyk się skrzywił, pomyślał, że może warto go naprawić, ale zaraz się uspokoił. A jaka to różnica czy on stoi, czy leży? Przecież i tak nie był żadną przeszkodą, żeby się dostać na podwórkę. Podwórka pilnuje Cezar, a poza tym potencjalny złodziej i tak nie miałby tutaj co ukraść. Spojrzał na ogródek i zauważył przetrzebione grządki sałaty a w miękkiej ziemi ślady łap jakiegoś zwierzęcia, zapewne zająca. Pomyślał, że jednak płot byłby potrzebny. Po chwili doszedł do wniosku, że może się dzielić ze zwierzętami, bo dla niego tych warzyw na pewno wystarczy.

Kiedy wracał do domu, na drodze pojawił się stolarz Wójcik, idący od strony lasu.

- Kowalczyk! – krzyknął. – Płot ci się rozpadł. Jak chcesz mogę ci go postawić za darmo, tylko trzeba zapłacić za nowe deski na sztachety.

- Nie, nie, sam sobie poradzę. Nie trzeba – Kowalczyk przecząco pokiwał głową.

- Jak chcesz. Nie to nie – Wójcik machnął ręką.

Myśliwi wracali z polowania. Już z daleka słyszał ich krzyki i podniesione głosy.

Wkrótce wyszli z lasu na wiejską drogę. Na czele z dumną miną szedł ksiądz proboszcz ze sztucerką na ramieniu. Spod myśliwskiej kurtki wycierała biel koloratki. Za nim dwóch mężczyzn niosło na kiju upolowane zające, zawieszane za tylne nogi i smutno zwisające głowami w dół. Z kolei za nimi, też na kiju, niesiono samą przytwardzoną do niego dla odmiany wszystkimi czterema nogami. Z boku uwijali się chłopcy z naganki, czyniąc hałas swoimi pokrywkami i patelniami. Hałaśliwe towarzystwo spowodowało, że przy płotach pojawiły się twarze zaciekawionych mieszkańców Dobrej. Łowiecki pochód nie poszedł jednak dalej. Zatrzymał się w obejściu Piotrowskiego, gdzie zamierzano dokonać podziału łupów.

Kowalczyk z Cezarem przyglądali się temu, siedząc przed domem. Kowalczyka szczególnie denerwowało wyniosłe zachowanie Piotrowskiego. Jego sąsiad dominował wśród myśliwych i wyróżniał się ubiorem. Miał na sobie polowy kombinezon w kolorze khaki, na nogach wysokie sztyblety, a na głowie zawiązał kapelusz z piórkami. Morderca zwierząt całą głowę – pomyślał Kowalczyk. Piotrowski machał rękami, pokrzykiwał i widać było, że on tu rządzi. Nawet proboszcz nie śmiał mu się sprzeciwić, a co dopiero pozostali łowcy. Od tamtego spotkania w lesie sąsiedzi wciąż patrzyli na siebie z niechęcią. Pewnie znów dzisiaj wieczorem będzie popijawa u Piotrowskich – pomyślał Kowalczyk.

I rzeczywiście była. Tym razem myśliwi bawili się w domu i chyba dobrze, bo co rusz dochodziły stamtąd wybuchy gromkiego śmiechu. Po jakimś czasie wytoczył się na podwórkę młody Struzik, syn najbogatszego gospodarza na wsi, o którym mówiono, że jest bananowym młodzieńcem. Widać było, że jest pijany, bo ledwie trzymał się na nogach. Widocznie chciał zaczerpnąć świeżego powietrza, bo stał chwilę, kołysząc się i oddychając głęboko, wpatrzony w rozgwieżdżone niebo. Potem rozejrzał się i zobaczył w sąsiednim obejściu Kowalczyka siedzącego jak zwykle na swoim drewnianym fotelu z psem rozciągniętym na kocu. Struzik uśmiechnął się złośliwie i podszedł niepewnie do płotu oddzielającego obie posesje. Wsparł się oburącz na sztachetach i pijacko rozwlekłym głosem powiedział:

- Hej, Kowalczyk, psiarzu pierdolony, jesteś pośmiewiskiem całej wsi. Najlepiej jakbyś się stąd wyniósł.

W tym momencie za jego plecami pojawił się Piotrowski i zataczając się ze śmiechu i alkoholu krzyknął, obejmując ramieniem Struzika:

- Zostaw tego menela, Kazik! Niech go psie pchły zjedzą! Chodźmy się napić.

Obudzony Cezar zerwał się na nogi i zaczął szczeleć na prześladowców. Kowalczyk położył rękę na jego dużym łbie i spokojnie powiedział:

- Uspokój się, Cezar. Nie ma sensu reagować na tych idiotów.

Pies przestał szczeleć, a w otwartych drzwiach domu Piotrowskich ukazała się sylwetka proboszcza. Ksiądz coś cicho powiedział do stojących przy płocie mężczyzn, na co obaj dość niechętnie odwrócili się i podtrzymując się wzajemnie wrócili na przyjęcie.

Wiosna tego roku była kapryśna. W marcu się ociepiło, a w kwietniu przyszły przymrozki, czyniąc spustoszenie w sadach. Początek maja znów był ciepły i na pola wyległy traktory, których głośny terkot wczesnym rankiem budził Kowalczyka. Kowalczykowie nigdy nie

mieli traktora. Podczas orki ich pług ciągnął zawsze koń.

Tego ranka też obudził go terkot traktorów. Umył się i ubrał, ale zanim wziął się za przygotowanie śniadania, zobaczył przy furtce listonosza Fiedoruka. Ucieszyło go to. Żadnych listów się nie spodziewał, ale Fiedoruk odwiedził go wtedy, gdy przyszła jego emerytura.

Kowalczyk wyszedł przed dom i otworzył furtkę. Fiedoruk wszedł na podwórkę prowadząc swój rower.

- Dzisiaj Matki Boskiej pieniężnej – powiedział śmiejąc się.

- Zapraszam do środka, panie Fiedoruk.

Rytuał był zawsze taki sam. Listonosz siedział w kuchni przy stole i liczył pieniądze, a Kowalczyk stawiał przed nim kufel z piwem. Ostatnie dziesięć, a czasem dwadzieścia złotych, Fiedoruk trzymał dłużej w ręku, aż Kowalczyk kiwnął głową, żeby sobie ten banknot zatrzymał. Potem obaj, popijając piwo chwilę pogawędzili, dzieląc się informacjami na temat tego, co ostatnio działo się we wsi i okolicy. To znaczy mówił głównie listonosz, który z natury rzeczy wiedział na ten temat więcej. Kowalczyk tylko słuchał, rzadko dodając do tego jakiś krótki komentarz.

Fiedoruk wstał od stołu, podziękował i zwrócił się do wyjścia. Nagle przystanął i smutnym głosem powiedział:

- Byłem ostatnio w Koszutce i dowiedziałem się, że pana brat Roman, który został na ojcowiznie, właśnie umarł. Bardzo panu współczuję, panie Kowalczyk.

Kowalczyk zamarł. Jak to? Romek nie żyje, a on o niczym nie wie? No tak, od lat nie miał z nim kontaktu, podobnie jak z resztą rodziny. A przecież jego rodzinna Koszutka znajdowała się raptem czternaście kilometrów na południe od Dobrej. Listonosz musi mu przynosić takie nowiny?

Milczenie i bezruch Kowalczyka Fiedoruk uznał za przejaw bólu po stracie brata, więc tylko pokiwał głową i wyszedł z domu.

Tego dnia Kowalczykowi nie szło czytanie. Zastanawiał się czy nie powinien udać się do Koszutki i porozmawiać z wdową, a być może również z innymi członkami rodzeństwa, jeśli tam byli. Bał się jednak tego spotkania po latach milczenia. Może lepiej niech zostanie tak, jak jest, bo właściwie co miałby im do powiedzenia? Sam mógłby się dowiedzieć na co Romek umarł, czy przy tym cierpiał, czy nie, ale przecież wcale nie był tego ciekawy. Umarł, to umarł.

Po południu Kowalczyk z zakurzonej szafki w salonie otworzył szufladę po raz pierwszy od wielu lat. W tej szufladzie znajdował się album ze zdjęciami, który zrobiła Anna. Przerzucił kilka stron i zatrzymał się na tej, na której znajdowało się stare zdjęcie jego rodziny zrobione przed domem w Koszutce. Na zdjęciu byli jego dawno zmarli rodzice z poważnymi minami i sześcioro ich dzieci. Kowalczyk długo się wpatrywał w stojącego obok niego Romana, który z groźną miną wpatrywał się w obiektyw. Od czasu, kiedy to zdjęcie zrobiono, Kowalczyk tylko dwa razy odwiedził swój rodzinny dom. Za każdym razem z powodu śmierci rodziców. Od czasu, gdy Roman objął ojcowiznę, nie pojawił się tam nigdy. Nic również nie wiedział o losach pozostałego rodzeństwa: najmłodszego Stefana i dwóch siostr – Magdaleny i Zofii. A przecież dzieliło go od nich tylko czternaście kilometrów. Zamknął album i schował go z powrotem do szuflady. ♦

cdn.

Tadeusz Zawadowski

ANNA I WIATR

Anna oswaja wiatr Chwyta go
w żagle włosów i pozwala dotykać
masztu szyi muskać
naprężone wanty piersi
Podstępnie wpuszcza go w tajemne
porty ciała
i kocha się z nim do rana

Później biegnie roześmiana
w poprzek fali płosząc
zdziwione mewy

GNIAZDA

Sine ptaki budują gniazda w chmurach
zbierają gałązki błyskawic
i ciemne smugi na niebie
Ich dzieci będą łamać maszty
i kruszyć burty napotkanych kutrów

siedzę na samotnej skale i daremnie
wypatrując gniazda w którym Anna
uczy syna budować maszty
z wyrzuconych na brzeg patyków
i obłaskawiać błyskawice

Bezbronna jak biała mewa
zagubiona w szarej ścianie deszczu

MORZE I ŚMIERĆ

Z morza wyszła śmierć Niosła
przetracone szkielety statków i przegniłe
wnętrza ryb Ślepe mewy siadały jej na głowie
myśląc że to porzucona łajba
wyrzucona na brzeg Małe dziewczynki
które przedwcześnie wyskoczyły
z brzuchów matek biegały wokół niej
szarpiąc za sukienkę Następnie pomarszczone
jak pestki śliwek wchodziły do morza
i nie pojawiały się więcej Niosły na rękach
małych chłopców z długimi siwymi brodami

Śmierć pobiegła za nimi
skacząc jak dziecko przez fale

ANNA I DZIECKO

Anna nosi w sobie dziecko
ostrożnie niczym rybitwa
rybę

Podziwia fotografię
małe rączki i bijące już
serduszko

Niesie je pokazać morzu
które ukradło mu ojca

Pobladła fala cofa się
pod jej drobną
stopą

BURZA NADCHODZI

Morze rośnie w oczach niczym
grzyby po deszczu Fale
rozkładają ramiona nad moją głową
upodabniając się do rozłożystych
sosn które pojawiły się
obok domu Anny tego wieczoru
kiedy odwiedziłem ją
podczas kolejnego marzenia

Odlamane konary deszczu uderzają
o powierzchnię morza jak mewy
w poszukiwaniu ryby Szamoczę się
w szysze kutra coraz bardziej
przypominając ziarno rzucone na żer
ptakom

Z MORZA

Gdzieś na brzegu czeka na mnie Anna
zaklina burzę i modli się o mój powrót
Ceruje sieci i wypatruje powracających
kutrów Jak z głębin morza wyjść
na jej powitanie gdy ryby wyjadły już oczy
i pamięć

Czas już zamknął się nade mną
Ryby mam w dłoniach
i ustach

Żłobią moje tętnice
jak krew

DZIECKO I MORZE

Dziecko z piasku próbuje
ulepić twarz ojca
Ostrożnie rzeźbi profil nosa
usta
i roześmiane oczy

Głodzi ojca po twarzy
dotyka
ziarnko po ziarnku

Wzburzona fala zabiera ojca
po raz kolejny

DZIEWCZYNA Z WYTATUOWANĄ RYBĄ

Dziewczyna ma na brzuchu wytatuowaną
rybę Chłopcy już zarzucają sieci Obmyślają
wielki połów Wypływają w myślach
na różowe łowiska delectując się
łososiowym smakiem

Dziewczyna siada na falochronie
jak mewa Podaje ukochanemu
rybę Kutry chłopców stają się malutkie
i giną za horyzontem

CHŁOPIEC IDZIE

Chłopiec idzie przed siebie
Fala mu się ugina
pod stopą jak modlitwa
pod krzyżem
Idzie szukać ojca pośród rozbitych
kutrów

Na brzegu tylko
martwa ryba

Ukraińcy nad Brdą

Naród ukraiński uformował się dość późno, choć pierwsze symptomy tego procesu pojawiły się, podobnie jak w całej Europie, w okresie Wiosny Ludów w 1848 roku nasyconej ideami romantyzmu (zainteresowanie się prostym ludem). Wcześniej byli to Rusini z określonych geograficznie i historycznie terenów przejściowych między Wschodem a Zachodem, mający wyróżniającą się, choć synkretyczną kulturę i tradycję. Zresztą dziś tradycja kultury ludowej jest znakiem wyróżniającym tego narodu, choćby wspomnieć haftowane stroje, noszone obecnie w okresie napięcia wojennego jako znak odrębności i dumy narodowej przez przedstawicieli elit politycznych, intelektualnych i kulturalnych. Rzewne, ale też rubaszne piosenki ludowe stanowią esencję wieczorynek w kręgach rodzinnych i przyjacielskich. Jest to szczególnie ważne na emigracji, także Bydgoszczy, w której w 2018 roku zaistniał ukraiński chór „Smaragdy”, specjalizujący się w twórczości ludowej.

Termin *Ukraina* pojawił się w potocznym obiegu w połowie XIX wieku i w zasadzie już wtedy zyskał – obok konotacji kulturowo-historycznej – konotację polityczną. Pod koniec I wojny światowej nad Dnieprem zaczęły pojawiać się ruchy polityczno-militarne mające na celu ukształtowanie suwerennego państwa, nawiązującego do tradycji Rusi Kijowskiej, ale też anarchistycznych ruchów kozackich. Z racji rozbitcia kulturowego i językowego oraz różnych tradycji lokalnych, nie było jeszcze jednego narodu ukraińskiego w nowożytnym tego pojęcia znaczeniu.

Brak doświadczenia organizacyjnego, niezgoda wewnętrzna, jak również wpływy rosyjskich komunistów i rosyjskich monarchistów, którzy nie wyobrażali sobie niezawisłej Ukrainy, sprawiły, że działania te nie odniosły oczekiwanych rezultatów. Większość działaczy niepodległościowych i żołnierzy walczących w formacjach pod różnymi znakami, znalazła się na emigracji. Także w Bydgoszczy. Nie wszyscy przyznawali się do swej narodowości, pewna część wraz z Rosjanami i Białorusinami tworzyła diasporę prawosławną, skupioną wokół lokalnego bractwa cerkiewnego. Wtedy bowiem – obok kapelanii wojskowej – powstała cywilna parafia prawosławna. Uregulowanie prawne wychodźców ze Wschodu nastąpiło w 1924 roku w formie przymusowej rejestracji. Liczba stałych mieszkańców Bydgoszczy narodowości rosyjskiej i ukraińskiej w latach trzydziestych XX wieku wynosiła około 350 osób.

Dokumenty odnotowały wiosną 1920 roku narodowość ukraińską wśród wykładowców i słuchaczy bydgoskiej Niższej Szkoły Pilotów i Mechaników Centralnych Zakładów Lotniczych. Było ich tam dwadzieścia trzy osoby. Zastępcą dyrektora Dyrekcji Poczty i Telegrafów był Rudolf Załuski, a naczelnikiem Wydziału Obrachunkowego w tejże instytucji Józef Mojesowicz. Występowały przypadki przeniesień

z Lwowa i okolic do Bydgoszczy pracowników państwowych, których podejrzewano o związki z ukraińskim ruchem nacjonalistycznym.

Gdy w 1922 roku dowództwo WP zarządziło wymianę ukraińskiego personelu lotniczego na polski, powstało Towarzystwo Samopomocy Wychodźców z Rosji, działające w lokalu przy ul. Pomorskiej 32 (obecnie ul. Pomorska 55). Prowadzono tam Bibliotekę Ukraińską i chór. Powstał również Oddział Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Ukraińskich Emigrantów. Już wtedy Ukraińcy oddzielali się od uchodźców białoruskich i rosyjskich, nie tylko kulturą i mentalnością, ale deklaracją przynależności, opartą głównie o miejsce urodzenia. Językiem, którym się posługiwali – obok rodzimych gwar i nabytego języka polskiego – był język rosyjski.

Pracę polityczną, typową dla tego okresu historycznego, prowadził na terenie całego kraju Ukraiński Komitet Centralny, którego pełnomocnikiem na miasto i powiat bydgoski został Benedykt Olesbijew, a potem ppłk Fedor Rybałko-Rybaczewski.

W 1932 roku w cerkwi, w rocznicę śmierci atamana Semen Petlury, zorganizowano uroczystą panichidę, czyli wspominkowe nabożeństwo żałobne.

W okresie okupacji niemieckiej Ukraińcy, Białorusini i Rosjanie traktowani byli jako grupa uprzywilejowana. Mieli prawo do zatrudnienia i lepszych kartek żywnościowych, a także do pozyskiwania mieszkań komunalnych. Mieli ukraińskie paszporty, w związku z tym do tych narodowości zaczęło przyznawać się coraz więcej osób. Według spisu z listopada 1944 roku aż 2787. W grupie tej byli także Polacy, rodem z Galicji Wschodniej, obawiający się wysiedlenia do Generalnej Gubernii.

Uprzywilejowanie przez okupanta stało się jednak obciążeniem po 1945 roku. Trzeba było w procesie paszportyzacji poddać się procedurze rehabilitacyjnej. W 1946 roku liczba osób zakwalifikowanych do wspomnianej grupy narodowościowej w województwie bydgoskim spadła więc do dziewięciu osób.

Ukraińcy, którzy w powojennej akcji paszportyzacji zadeklarowali narodowość polską, z czasem się polonizowali i laicyzowali. Tylko nieliczni związali się na trwałe z bydgoską parafią prawosławną pw. Mikołaja Cudotwórcy, która dążyła do rozwoju prawosławia uniwersalnego, bez podziału na narodowości.

Przedstawiciele nowego pokolenia Ukraińców pojawili się w Bydgoszczy po II wojnie światowej, znajdując się zarówno w szeregach Armii Czerwonej, jak i Wojska Polskiego. Niektórzy z nich świadomie podkreślali swoje pochodzenie, jak na przykład komendant garnizonu bydgoskiego i dowódca stacjonującej w mieście 14 dywizji piechoty płk. Józef Sielicki.

Po 1947 roku społeczność bydgoską zasiłowało kilka rodzin wysiedlonych z południowo-wschodniej Polski w ramach

akcji „Wisła”, lecz one, będąc wyznania greckokatolickiego pozostającego w permanentnym sporze z prawosławiem, nie przystąpiły do parafii.

Związki Bydgoszczy z Radziecką Socjalistyczną Republiką Ukrainy wynikły z politycznej akcji miast zaprzyjaźnionych, zwanych też bliźniaczymi. W 1964 roku miastem takim stały się naddnieprzańskie Czerkasy. 13 września 2000 roku odnowiono tę więź, nadając jej rangę miast partnerskich. W 2001 roku, rangę taką uzyskał – również leżący nad Dnieprem, lecz na jego lewym brzegu – Krzemieńczuk.

Oprócz wizyt oficjalno-propagandowych miała miejsce wymiana kulturalna między tymi miastami. Najowocniejsza była w kręgach literackich. Wzajemne tłumaczenia poezji zaowocowały w 1977 roku dwujęzycznym almanachem *Wyszywanika*, a w 1978 roku almanachem *Zbliżenia*. Po 1989 roku w oparciu o nowe systemy komunikacyjne, ukazały się almanachy poezji autorów z Bydgoszczy, Czerkas i Krzemieńczuka: *Muzy nad Brdą i Dnieprem* (2022), *Ponad. Mosty solidarności* (2023), *Trójkąt poetycki: Bydgoszcz – Czerkasy – Krzemieńczuk* (2024).

Współpraca miast zaprzyjaźnionych, zwanych po 1989 roku *partnerskimi*, zaowocowała licznymi studentami ukraińskimi na uczelniach bydgoskich. Bardzo skuteczny mechanizm werbunkowy stworzyła Wyższa Szkoła Gospodarki, której przedstawicielem w Krzemieńczuku został Andriej Mełnyk. Sprawilo to, że gród nad Brdą i Wisłą stał się dla ukraińskiej imigracji ekonomicznej, która zintensyfikowała się od 2014 roku, pożądanym ośrodkiem zasiedlenia. Wcześniejsi przybysze zachęcali kolejnych, studenci – rodziców i krewnych. Jak na miasto dość odległe od granicy z Ukrainą (około 500 km) mieszka tu, uczy się i pracuje proporcjonalnie więcej Ukraińców niż w miastach podobnie usytuowanych. Zjawisku temu sprzyja otwarta i życzliwa postawa władz miejskich i wojewódzkich, dzięki której imigracja wojenna po 24 lutego 2022 roku znalazła tu dobre warunki egzystencji, ale też rozwoju osobowego i społecznego. Bydgoszcz postrzegana jest jako miasto tolerancyjne i przyjazne.

Bydgoscy Ukraińcy nie wykazują aspiracji politycznych. Mimo intensywnych globalnych procesów laicyzacyjnych, których – w tym przypadku – podłożem była też planowa ateizacja w byłym ZSRR, założyli w 2019 roku parafię greckokatolicką (unijną) pw. św. Michała Archaniola, która po gościnnym sprawowaniu kultu w bazylice pw. św. Wincentego á Paulo, urządziła na początku 2025 roku kaplicę przy ul. Wyczółkowskiego 8. Proboszczem jest ks. Roman Narytnyk ze Stanisławowa (Iwano-Frankiwnsk).

Proboszcz parafii prawosławnej pw. św. Mikołaja Cudotwórcy ks. Marian Radziwon opiekuje się grupą prawosławnych Ukraińców, w tym uchodźców wojennych, choć ich nie wyróżnia, bowiem jego parafia ma charakter uniwersalistyczny i gromadzą się w niej także Białorusini, Mołdawianie, Ormianie, Serbowie, Gruzini, Grecy, Rosjanie. Ponadto Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny obawia się prób ukrainizacji, jak to miało miejsce w okresie międzywojnia. Kościół ten wypracowuje własną tradycję

cerkiewną, polską i kresową zarazem.

Jeśli chodzi o kulturę, to prym wiedzie *Świetlica Ukraińska* przy ul. Dworcowej 54 i 57, założona w 2018 roku przez Liliję Zahnitko. Oprócz kursów języka polskiego i angielskiego, a także ukraińskiego dla dzieci, odbywają się tam zajęcia plastyczne, teatralne i muzyczne. Ćwiczą trzy grupy muzyczne: chór „Smaragdy”, zespół dziecięcy „Malwy” oraz młodzieżowy zespół instrumentalno-wokalny „Semitones”. Ta zbiorowa aktywność muzyczna wśród nowych imigrantów jest fenomenem w skali całego kraju.

Ważnym ośrodkiem skupienia, głównie w sferze społeczno-ekonomicznej, jest Kujawsko-Pomorski Dom Ukraiński prowadzony przez Elenę Morozową-Domagalską przy ul. Jezuickiej 5.

Aktywności bydgoskiej diaspory ukraińskiej sprzyja założyciel Wyższej Szkoły Gospodarki, konsul honorowy Ukrainy Krzysztof Sikora. W jego biurze przybysze zza wschodniej granicy, zwani eufemistycznie „osobami z doświadczeniem migracji”, mogą uzyskać pomoc w załatwianiu spraw formalnych. WSG ułatwia też młodzieży uchodźców wojennych zdobycie matury w języku ukraińskim.

Obecnie prawie 50 procent członków ponad 15-tysięcznej diaspory ukraińskiej w Bydgoszczy wiąże z miastem nad Brdą i Wisłą swoją przyszłość, podejmując pracę, zakładając przedsiębiorstwa, ucząc się języka polskiego i kupując mieszkania. Wszystko wskazuje na to, że staną się oni trwałym ogniwem bydgoskiej społeczności. ♦

XIX Ogólnopolski Konkurs Poetycki o „Cisową gałązkę” im. L. Wyczółkowskiego

1. Organizator konkursu:
Gminna Biblioteka Publiczna w Cekcynie.

2. W konkursie udział wzięło 47 uczestników z całej Polski. Uczestnicy nadesłali zestawy zawierające 1-3 wierszy.

3. Jury w składzie:
Stefan Pastuszewski – przewodniczący, Zyta Ważna, Grażyna Wojcieszko, Kazimierz Żarski przyznało:

- nagroda główna „Cisowa gałązka” 2025 Anna Szewczyk z Krakowa, godło MADRE;
- wyróżnienia

1. Mikołaj Waliś (Brwinów), godło *zółw*, 18 lat,
2. Aleksandra Łopot (Częstochowa), godło *Phantom Liberty*, 24 lata.

Ponadto nagrodę specjalną – druk w AKANCIE otrzymują:

1. Julia Zaręba (Starachowice), godło *widokówka z tego świata*, 21 lat
2. Martyna Pasek (Rumia), godło *OGRÓDEK*, 15 lat
3. Paweł Ożga (Kraków), godło *Piotr*, 22 lata

Nagrodzone wiersze mają głębię filozoficzną i jak zwykle dotyczą problemów egzystencjalnych, czasem nawet dramatycznie ujętych. Na szczególną uwagę zasługują utwory sylabotoniczne (rymowane), świadczące o tym, że ta forma wersyfikacji powraca i znajduje uznanie wśród młodzieży.

Na konkurs wpłynęło dużo wierszy o tematyce lokalnej – Borów Tucholskich, co ma wartość promocyjną dla subregionu cekcyńskiego.

Janusz Orlikowski

Drugie przykazanie

W dzieciństwie, gdy przygotowywaliśmy się do Pierwszej Komunii Świętej jedną z treści, które były pamięciowo do opanowania było Dziesięć Przykazań. Tam, jak mówił nam katolicki katechizm, drugie przykazanie po pierwszym: *Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną*, brzmi – *Nie będziesz brał imienia Pana Boga swego nadaremnie*. Trzecie: *Pamiętaj, abyś dzień święty święcił* itd. Prawdy, jak wtedy się myślało, a właściwie czuło, najważniejsze i w żaden sposób nie podlegające dyskusji. Dziewięcioletni chłopiec? Nawet mu to w głowie nie było. Po latach okazuje się, że to nie tak. Ale nie dlatego, iż powyższe sformułowania niosą jakąś herezję, wręcz przeciwnie, lecz z uwagi na – prawdę.

Drugie przykazanie to: „*Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią!*” A zatem nie należy czynić jakichkolwiek obrazów Boga. Tak przynajmniej mówi Księga Wyjścia, gdzie ów dekalog się pojawia. Jest to zupełnie coś innego w stosunku do tego, co znamy z dzieciństwa. Nawet jeśli przyjmie się, że Mojżesz po otrzymaniu od Boga na kamiennych tablicach owe formuły przyjął, gdy spostrzegł jak jego lud oddaje cześć złotemu cielcowi i trzeba było tworzyć je na nowo niewątpliwym jest, że drugie przykazanie pierwotnie dotyczyło – zakazu tworzenia wizerunku Boga. Tylko skąd się to wzięło i dlaczego zmieniono?

Jak powszechnie wiadomo ojcem trzech wielkich religii, czyli judaizmu, chrześcijaństwa i islamu, jest żyjący około 1800 lat przed naszą erą Abraham. Był synem pasterza Teracha., który dorabiał sobie sprzedając bożków ze swego warsztatu. Pewnego razu przyszedł prorok zastąpił ojca w sklepie i rzekł do starszego człowieka, który chciał kupić świętą figurkę: „*Urodziłeś się siedemdziesiąt lat temu i mimo to modlisz się do figurki, którą zrobiono wczoraj na zapleczu tego sklepu!*” Ten zastanowił się i zrezygnował z zakupu. Gdy Terach się o tym dowiedział usunął syna ze sklepu i nakazał mu zbieranie ofiar dla bogów przyniesionych przez wyznawców. Pewnego dnia pojawiła się kobieta, która przyniosła ofiarę z jedzenia dla jednego z wyznawanych przez siebie bogów. Abraham zamiast złożyć ją zgodnie z zamysłem owej kobiety powiedział: „*Ta figurka ma co prawda usta, ale nie może ani jeść pożywienia, które dla niej przygotowałaś, ani podziękować po posiłku. Ma ręce, ale nie podniesie ani kęsa z pożywienia które przygotowałaś.*” A dalej: „*Moim zdaniem ci, którzy wyrabiają takie figurki, i ci, którzy oddają im cześć, są tak samo głupi i bezużyteczni, jak sam ten bożek.*” Tyle młody Abraham.

Jego historia to przejście od politeizmu do monoteizmu. Był prorokiem, który słyszał głos przemawiającego do niego Boga, który mówił mu, że jest tylko On, Jeden. Jak potężny musiał być to głos, skoro ten niefrasobliwy syn Teracha przyjął go jako bezwarunkowy, czego dowód mamy w postaci słynnej opowieści ze Starego Testamentu dotyczącej syna Abrahama Izaaka. Dopiero Bóg mówi stop i pierwszy prorok monoteizmu cofa się przed uśmierceniem pierworodnego. Zatem i głos mówiący o nie robieniu wizerunków Boga, czyli Drugie Przykazanie, przybiera tym samym na wartości. Ale póki co nie pojawia się, by tak rzec, w piśmie. Przez setki lat funkcjonuje, by można powiedzieć, w przekazie ustnym obraz „rodzącego” się

jednego Boga, którego tworzenie wizerunku w postaci jakichkolwiek figurek jest w raczkującym monoteizmie, powiedzmy ogólnie, nie bardzo słyszalne.

Dopiero Mojżesz, żyjący w XIII wieku p.n.e. przytaszczył kamienne tablice, gdzie jasno to zostało wyartykułowane. Tam wręcz zaskoczyła Izraelitów wieść, że Drugie Przykazanie mówi o zakazie robienia wizerunków Boga. Dla nich robienie obrazów zwierząt, na które polowali, czy bogów których czcili było czymś zupełnie naturalnym. A tu Bóg ma być jeden i do tego bez figurki. A tu jeszcze afery za złoty cielem. Lecz jak pisze Richard Holloway w „Krótkiej historii religii”: „*Drugie Przykazanie to najtrafniejsze spostrzeżenie dotyczące Boga, jakie człowiek kiedykolwiek poczynił. Jego prawdziwym celem była religia, a nie jacyś ludzie tańczący wokół złotego cielca. Ostrzegano nas, że żaden system religijny nie ujmuje tajemnicy Boga ani jej w sobie nie zawiera.*”

To ostrzeżenie na serio pojawia się w rodzącym chrześcijaństwie. O czym piszę? O wjeździe Jezusa do Jerozolimy. Tam to Nazareczyk wpada w gniew i wygania za pośrednictwem bicia wszystkich sprzedających i kupujących w świątyni mówiąc, że jest to dom modlitwy, a oni poczynili z niej jaskinię zbójców. To ten sam zaczyn, który zjawia się u Abrahama, który sprzeciwiał się tworzeniu figurek. Abraham, pierwszy prorok jednego Boga i Jezus, Bóg wcielony, mówią dokładnie to samo. Chrystus częstokroć zwracał uwagę na prawdy Starego Testamentu, jak choćby przypowieść o Adamie i Ewie była dla niego podłożem do monogamii, którą apostołowie niechętnie przyjęli. Ale to na marginesie.

A zatem Drugie Przykazanie to w istocie: „*Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią!*” I ma się ono jeszcze dobrze w przypadku Islamu, który zrodził się siedem wieków po chrześcijaństwie. Wspólne źródło Abrahama objawia się w tym przypadku, gdy Mahomet „*zdemaskował i potępił kupców, którzy bogacili się na handlu bożkami obok Kaaby i tych, którzy kazali płacić pielgrzymom za wodę ze Świętego Źródła.*” jak pisze cytowany wcześniej Richard Holloway. A – jeśli ktoś chociaż raz znalazł się w meczecie, jego uwadze nie może być obojętne to, że pomieszczenia te pod względem architektury są niezwykle ascetyczne. Brak tam jakichkolwiek figurek tych, czy tamtych świętych, są tylko ściany i nic więcej. No prawie nic więcej, bo gdy chciałem zrobić zdjęcie grobu Mahometa to okryta burką muzułmanka spojrzała na mnie tak, że od razu to zdjęcie miałem wrażenie, że powinienem skasować. Ot, głupi chrześcijanin, zachowałem. I co mi z tego? Gdy porówna się tę architekturę z tym co zaproponowało nam przez następne wieki chrześcijaństwo Drugie Przykazanie wygląda bardzo błado, by nie powiedzieć, że nie zostało z niego nic. A już sztandarowym, wręcz karykaturalnym przykładem jest nasz polski Licheń. Duchowy obraz nędzy i rozpacz. Ale dajmy spokój wymiotom. Tym niemniej warto zauważyć, że cała sztuka sakralna w istocie jest sprzeczna z tymże przykazaniem.

Dlaczego Drugie Przykazanie zmieniono? To proste. By nie było całego tego religijnego biznesu. ♦

Warto przeczytać

Co i raz przestrzeń literacką zapełnia poezja.

Trudno się dziwić, wszak zawsze w czasach niespokojnych dominowała mowa wiązana. Bowiem poezja spełnia rolę *catharsis*, wycisza, ale i bije na alarm. Ma więc znaczenie apotropaiczne. Poucza, grozi, ale i bawi przenosząc czytelnika w świat iluzji.

Niestety traktowana jest w księgarniach po macoszemu. Jest prawie niewidoczna na półkach księgarskich, nawet ta nagradzana, jak choćby *Raptularz Urszuli Koziół* – laureatki nagrody Nike i Odry. Może to dotyczy tylko warszawskich księgarni?

Zupełnie niewidoczne są w księgarniach wybory poezji wydawane przez LSW w ramach *Biblioteki Poetów* (od 1967 r.), a warto wziąć do ręki książki z tej serii, jak choćby wydane ostatnio, pięknie edytorsko i ciekawe merytorycznie *Poezje wybrane Krzysztofa Saturnina Schreyera*.

Godne zauważenia są interesujące zbiory wierszy poetek podpisujących się stopniem naukowym **Anny Nasiłowskiej** i **Zofii Zarebianki**, choć w ogólnym wyrażeniu niesłusznym mniemaniu poświęcenie się nauce nie sprzyja muzie Apollina.

Poezja **Anny Nasiłowskiej** (autorki ciekawej monografii Sławomira Mrożka), zawarta w zbiorze *Wiersze stacjonarne* (Biblioteka FONT r. 2024), osadzona jest w realiach bliskich człowiekowi. Urzeka trafnością spostrzeżeń, spójnością słowa z „narracją przestrzeni”. Szpital kojarzący się z cierpieniem może być źródłem pozytywnego doznania, stopienia się z drugim człowiekiem, z jego lękiem, ale i motorem życia – nadzieją.

Lęk

To najgorsze
w tych szpitalach
że z obcymi w jednej przestrzeni
ten przymus –
mówi moja koleżanka.

A ja myślę
nie
to dobre
to lek
na lęk

Zło jakim jest choroba, śmierć, nie dotyczy tylko jednostki ale w sensie ogólnym – bytu. Zatacza kręgi, gorzej gdy kreślone ręką człowieka.

Bo czym jest wojna? Zło egzystencjalne? Metafizyczne?

Jak można to zło zatrzymać?
Zło, które ociera się o granice naszej
ojczyzny? Po prostu trzeba żyć.

(...) Nie w mojej mocy
odwrócić zło, które już się stało
zażegnać wojnę
która się działa i dzieje
i tańczy lekko.

(Koniec wierszy stacjonarnych)
Koniecznie trzeba przeczytać tomik
wierszy **Zofii Zarebianki** „Majaki” (wyd. SPP
oddz. Warszawa 2021).

Wiersze te urzekają pięknem słowa, głębią
przemysłu, zaskakującą pointą. Poruszają
tematy egzystencjalne i metafizyczne.

Czyż nie jest zaskakująca parafraza powie-
dzenia: „już dziecku trzeba składać kondolen-
cje” w wierszu *Kołęda 2020?*

Cień śmierci

Kładzie się
Na Świątach
To dziecko
Umrze
Na krzyżu
Pamiętaj
Cień śmierci
Brzmi męką
W kołędach

Jakże zaskakująca swoją wymową jest para-
fraza modlitwy *Ojcze nasz*:

*Ojcze nasz, który jesteś
Mam nadzieję że*

Jesteś

W niebie i na ziemi

Szpitalne korytarze
Tunele rozpachy
Szpitalne korytarze
Tunele nadziei
Na śmierć
i życie

Egzystencjalny lęk tym bardziej może wy-
woływać zachwyt nad otaczającym nas światem.

Niech w niebie

Będzie

Jako i na ziemi

Nie znam piękna

Innego

Jak tylko ziemskie (...)

(Wakacje)

Jest w tych wierszach tkliwość, współczucie,
trwoga, empatia, miłość przejawiająca się w nie-
zapominaniu. Zapach macierzanki przywołuje
obraz matki.

Macierzanka

W palcach roztarta

Pachnie

Cierpkim latem

(...)

To niewiele

Mamo

To za mało. (...)

Pamięć o zmarłych mogą przywołać
gorzkie migdały. Zapach flanelowej koszuli
przywołuje postać zmarłego męża

(...) *Whulala się cała*

W ten zapach

Miniony

Koszuli z flaneli

Co po nim

Została

Artefakty, przedmioty nabierają cech
metafizycznych, ożywają, powstają z martwych.

Poetka nawiązuje do historii, ciekawie
łączy czasy i miejsca, to co tu, tam i teraz.

Patrzę w morze z leżaka

Co mewa widzi z

Z lotu ptaka? (...)

Czuję bliski

Koniec

świata

Amazonia ginie

Płonie Australia

Pożar lodowców

Gór zagłada

Zaraza (...)

Zło nawraca, czało się i czało, ale jest na-
dzieja, jakże gorzko opisana w wierszu dedyko-
wanym dziadkowi, który zginął w Oświęcimiu

Nosił takie optymistyczne

Nazwisko

Mój dziadek Jakub

Jutro będzie lepiej

Nadzieja

Na lepsze jutro

Spełniła się

W dymie

Oświęcimskiego komina

Wszystko co żyje dochodzi do krawędzi.
„Tak Bóg wstrzyknął truciznę do obiegu czasu”, ale
„jeszcze wcześniej stwarzając miłość”.

Ten fragment wiersza „Nasz Bóg” jest
główną pointą bardzo ciekawego zbioru „Na
krawędzi” (Inst. Wyd. Świadectwo Bydgoszcz
2024) **Stefana Pastuszewskiego**.

W poezji tej wątki egzystencjalne zahaczają
o metafizykę. Jest tu determinizm, z którym
nie może pogodzić się myślący człowiek (...) „
anioł zagłady dojrzeźwa do czynu (...) „choć
wkrótce wykreśli nas z rejestru” (Nasz Bóg)”.

Świadomość końca uruchamia pokłady
behawioralne. Bunt każe cofnąć się w prze-
szłość, dojrzeć uroki tego co było i co jest.
Docenić przyjaźń, miłość. Stać. Nie iść dalej.

(...) *dochodzisz do krawędzi*

i wracasz

jak wahadło zegara

choć wiesz że nie ma prawdziwych powrotów

(Za późno)

Miłość i bliskość sprawiają, że czas staje.

(...) *Bóg ulitował się nad wędrowcem*



NOCLEGI ŻNIN

Stara KAMIEDICA

5

ul. 700-lecia

tel. 602 242 061 • www.noclegiznin.eu

*i stworzył chwilę
ziarenko wszechświata
dla mnie
i dla ciebie
i* (Moje, twoje, i)

Wszystkie utwory **Stefana Pastuszewskiego** zawarte w tomie *Na krawędzi* poruszają bliskie człowiekowi prawdy egzystencjalne.

Wbrew gorzkiej narracji wywołują optymistyczną refleksję, że chwila, to „ziarenko wszechświata” może zniwelować lęk i dać szczęście między innymi ukazane w wierszach:

(...) *słyszysz ten złoty szum słońca
lasu oddech
ciszę
i z tych słów przeźroczystych
wiersze mi się piszą*
(Z Łąk)

Najnowszy tomik wierszy **Eroti** (wyd. Świadectwo 2024) **Jolanty Baziak**, wydany z okazji pięćdziesięciolecia pracy twórczej, zawiera „jak pisze w posłowniu autorka, utwory dawniejsze, niepublikowane, osadzone w dzisiejszej rzeczywistości (m.in. wojna w Ukrainie) ale „wyznaje poetka, „przestrzeń poezji jawi się jak otulona wszechogarniająca miłością”.

Wyznanie to jest swoistym credo wierszy zawartych w książce *Eroti*.

Świadczy o tym motto zbioru *Hymn o miłości* św. Pawła.

Poetka w sposób subtelny nawiązuje do Starego i Nowego Testamentu.

Pojęcia metafizyczno-ontologiczne splatają się z *somą*.

Przeważa jednak *sacrum* przenikające człowieczy byt, przenikające *Universum*.

A miłość to boska cząstka? Nie ta z Wielkiego Zderzacza Hadronów.

(...) *Wiemy o sobie wszystko
splątana kwantowo
boska cząsteczka*
(W akceleratorze)

A jednak panoszy się zło. Jak to możliwe, chociaż w Księdze Rodzaju wszystko, co stworzył Bóg, było dobre?

(...) „gdzie Lilith pożera własne dzieci

tak waż niezgody i wojny
trwa

na przekór słowom Boga
że wszystko było dobre
bardzo dobre „
(Dobro i zło)

Zaprzeczeniem miłości są wojny – ucieśnienie metafizycznego zła, zaś antytezą zła szeroko pojęta miłość, bo (...) *miłość jest sztuką, nie uśmierca życia*.

Spotkanie dwojga prawdziwie kochających się ludzi to święte przeznaczenie, jak wierzyło wielu poetów romantycznych.

(...) *widmowe cienie kochanków
wśród fluorescencji wielu ciał
dusza rozpoznaje
ona biegła do ciebie już przed wiekami
jak dusza dziecka do ciała matki*
(Biegne do ciebie)

Wiersze **Jolanty Baziak** zmuszają do refleksji nad tajemnicą bytu i nieskończoności oraz nad pięknem obrazu poetyckiego.

(...) *a już słońce wypija wodę ziemi
a już budzisz sen o kochanej dokostnie twojej
a już ona odebrała ze skrzydeł porannej zorzy
pocątek światła*

z obłoku

(Skrzydła poranka
z księgi psalmów 139,9)

Sławomir Krzyśka w 2024 wydał dwa zbiory wierszy *Czerwona biel* (wyd. Świadectwo Bydgoszcz 2024) i *Chwila wyciszenia* (wyd. Gaudentinum Gniezno 2024) pozornie o różnej tematyce, ale tylko pozornie. W jednym i drugim zbiorze przeważają refleksje nad upływem czasu, rozważania filozoficzne zahaczające o transcendencję i eschatologię. Tytuł książki *Czerwona biel* (ciekawej edytorsko z interesującymi ilustracjami Jacka Rosiaka) epatuje kontrastem kolorów, zestawieniem pozornie niemożliwym, ale fizjologicznie wytłumaczalnym. Może być na twarzy biała maska, pod którą gorączkowa, emocjonalna czerwień.

(...) *Słowa jak dźwięki
ukryte w spojzeniu*

(...) w towarzystwie ciche w samotności
głośne

Egzystencjalny lęk przed złowieszczym czasem i obezwładniająca niemożność uporania się z człowieczym losem? Czerwień przykryta bielą. Bo jak walczyć z tym, co nieuniknione?

Co znaczą chwile

gdy giną dni
co znaczą noce
gdy uciekają myśli (...)
(Co znaczą chwile)

(...) *Znużone zamiary
leżą bezładnie na ścieżce (...)*

Może życie jest iluzją, spowite mgłą albo snem, w którym

(...) *Deszcz
ciemność (...)
ciche kryształowe tzy
dotykają
słońce*

A może w snach jest wskazówka, drogowskaz dla człowieka?

*Łączysz sny w drogę
którą gwiazdy w obłokach
przynoszą nadzieję*

i którą przepływa woda
przez niecierpliwie palce

Poezja to dar dany przez Ducha, jak muzyka, czy malarstwo.

*Za drzwiami, które zamknęła cisza
mieszka wiersz pisany głosem nieba (...)*

Poeta zastanawia się nad tajemnicą historii, w której z przeszłości wyrasta przyszłość spowita mgłą niewiadomości.

*Jak żyć nieznaną przyszłością
gdy mroczne ręce
we mgle z odcieniem czerwieni
ze skóry odzierają dzieje (...)*

(„My i oni” w zbiorze *Chwila wyciszenia*.)

Poezja jest darem Ducha - to leitmotiv obu tomików, o czym świadczy choćby fragment wiersza „pisanego głosem nieba”.

W części drugiej *Chwili wyciszenia* zatytułowanej *Droga krzyżowa* znajdują się wiersze-modlitwy, w których transcendencja splata się z realną rzeczywistością.

Modlimy się do Boga, który przez swoje człowieczeństwo rozumie naturę człowieka skłonnego do grzechu i potrafi wybaczać.

*Upadłeś Jezu
ciężkie moje grzechy
Proszę wstań
i mnie pomóż się podnieść*

Prowadź mnie Panie

Tomik kończy optymistyczna pointa (...) *umarło zło/powstało Dobro (...)*

Poezja **Sławomira Krzyśki** filozoficzna, kontemplacyjna, pozbawiona obrazów i na ogół tropów poetyckich przypomina raczej muzykę, albo malarstwo abstrakcyjne, w którym zakodowane jest pojęcie przestrzeni i czasu.

Już tytuł tomiku *O! Nie!* (wyd. Veridian 2024) **Marleny Zynger** sugeruje zawartość merytoryczną wierszy,

Jest to song-protest przeciwko złu przybierającemu różne formy. Złu czającemu się we współczesnej nauce i technice jak np. sztuczna inteligencja, zaśmiecanie kosmosu sztucznymi satelitami, zło, które grozi nie tylko matce ziemi ale światu, który jest ponad nami.

*Boski kosmos szepcze
ale my nie słyszymy
dźwięku (...)*

Zło krąży po orbitach Uranosa (...)

(Granice błędów)

Nauka stała się zależna od miliardów i polityków pograżających świat.

(...) *nie tylko awaria może zmienić
trajektorie
wystarczy złowrogi rozkaz*

(Hybris kosmicznych krezu-
sów)

Katastroficzny ton wielu utworów pointuje wiersz *Granice błędów*

(...) *niczym przestroga brzmi
wylicznika:
na dole śmieci
na górze śmieci
czy wybaczą wam
wasze świadome dzieci*

Tematyka wierszy tego zbioru jest dość szeroka. Poetka nie ogranicza się do profetycznie brzmiących wierszy ukazujących niebezpieczeństwo dla ludzkości; porusza również tematy związane z historią współczesną jak Katyń, powstanie warszawskie (*Pamięci Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*) a także epidemia coronawirusa i wojna w Ukrainie.

Współczesnemu człowiekowi ukojenie może dać tylko przyroda.

Krzak jaśminu wywołuje wspomnienie dzieciństwa a spersonifikowany uwodzi pięknem i zapachem.

(...) *zadziwiony własną śmiałością
porusza delikatnie białymi kwiatami
pełnymi wilgotnych wzruszeń
trzepocze zielonymi liśćmi
i wpatruje się tantrycznie w umiarkowane
ocami cienkich pędów*
(Romans z jaśminowcem)

Apotropaiczne, profetyczno-katastroficzne w większości wiersze zamyka pogodny wiersz *Ecce homo*

*Po zielonym boso biegnę
przez ciemniowy las
tu jeszcze śpiewają ptaki
pracują mrówki
i każdy oddech rodzi
zdrowe myśli*

Bo tylko „zdrowe myśli” może wywołać przyroda, dopóki jeszcze istnieje, dopóki jej człowiek nie zniszczy.

Poezja jest jak chór podzielony na głosy. Różne style, różna tematyka, ale wszystkie wiersze łączy jedno – mówią o człowieku i skierowane są do człowieka. Każdy czytelnik znajdzie w nich coś o sobie i dla siebie. ♦

Gregory Spis

Idiota deszcz

kocham cię jak ten idiota deszcz,
który pada właśnie wtedy
kiedy świeci słońce
gorące krople spadają na twoje powieki
całują twoje usta
a ty
śmiesz się
i chowasz twarz w dłoniach
ukryłaś w nich dla mnie
ciepło kolorów tęczy
tańczysz na moście
w białej letniej sukience
w deszczowe groszki
i jestem zazdrosny
o każdą kroplę
która spływa po twoich udach
aż po twoje stopy
w kałuży
zalanęj promieniami słońca
chcę zobaczyć twój uśmiech
a ty
musisz go zetrzeć z oczu
i dać prawdzie w twarz
mój obraz
rozbija się
w kroplach
które spadają
z twoich dłoni
cieszę się
że mogę być
kroplą
choć
na jednym
twoim
delikatnym
opuszku
pal
ca
a
a
ah...

Jolanta Baziak

Taka całość

Ukochanie ukołysanie
wieczna fala przypływu
była jest

ten kamień

a może w cieniu pobłysk
w słońcu oaza pustyni
gdy bez szyb patrzymy
w ciszę

ukochanie ukołysanie
komunia ciał
ten kamień

nasz sakrament pod wydmami
nie noc najświętsza
a życie całe

Całe
Sakrament Ten kamień...

Laura Alszer

Bugenwilla

aksamitne płatki
rozpuszczone w powietrzu
tworzą fuksjową mgłę

można się zgubić w ich zapachu
i odnaleźć na nowo
jako ktoś inny

różowieję
połyskując świtu lśnieniem
gdy nadchodzi zmierzch -
zasypiam wpleciona w ciebie

ćmy spijając nektar
jedwabnymi skrzydłami
wabią świetliki

Marcin Lenartowicz

KLMR

Za uchem, zaraz obok węzowych łusek,
porasta mnie mech.
Nabieram kory i stapiam się w sekundy,
które trwają przez oddech, a potem kwitną.
Wdech.
Nabieram przestrzeni do płuc,
wypuszczam stabilność, odpowiednik haczyka,
który traktujesz jako kolczyk.
Zakładasz na noc

Jakub Tontarski

Ucieka Pan

Nie zapominaj o mnie. Gdy odejdziesz do hermafrodytów
nabitych w zielone nektary uniesień
wściekle pożądlivych spojrzeń w panterkowe body
upojeń bez sensu i czci. Wyzbij się mnie dopiero wtedy
gdy spuchnięte tęsknoty do „moje, moje”
pochłoną ci brązowe oczy. Moje moje
chciałaś wołać chciałem wołać chcieli wołać
piękne rysy drogie sprawy cenne czasy
moje moje
zapachy seksu smaki ust
przysięgi wierności
moje moje. Ukochana Zdobywco
musisz wybrać. Twoje twoje lub wzrok z kobierca.

Martyna Antonina Cicha

Ścinanie skażeń

Dyryguję historią.
Estetycznie zakodowaną falą
zastrzyków, ołówków wbitych pod skórę i
ugryzień dzikich pszczoł rozestanych jak szpilki
w mapie po szklanym rysunku powietrza. Boję
się, że już nigdy nie wysnuję żadnego związku
człowieka z Jego omsknętym w czerń nadgarstkiem.
Chciałabym myśleć, że tego wymaga nasze światło,
ale ci chłopcy z zamaskowanymi kciukami i zabliźnione
biodra dziewcząt każą mi sądzić, że wszystkie napuchłe śmiechem ulice
nie są już bezpiecznym miejscem na skok. Być może pomyślisz, że myślę się,
przyskrzyniona wiecznością, ale gdy oddechem o tobie kołyszę puls w płucach jedynym,
co potrafię pomyśleć jest dzikość, która wieńczy nas w przepaść.

Zbigniew Dąbrowski

Wilhelm Franciszek Kubsz – bliżej Kościoła niż władzy

Spośród duszpasterzy posługujących w parafii laskowickiej (istnieje od 1938 r.) w powiecie świeckim, gminie Jezewo najbardziej rozpoznawalną postacią był niewątpliwie ksiądz proboszcz **Wilhelm Franciszek Kubsz** – kapelan I Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki.

Postać księdza kapelana stała się przedmiotem zainteresowania wielu historyków. Owocem ich dociekań są artykuły, monografie, wspomnienia. Rzetelny obraz działalności duszpasterza ukazał Andrzej Topol w wydanej w Katowicach w 1983 r. w monografii *Wilhelm Kubsz (1911-1978), Pierwszy kapelan Ludowego Wojska Polskiego*. Interesujące spojrzenie na losy W. Kubsza przedstawił, uwzględniając najnowsze badania historyczne Wiesław Jan Wysocki w monografii *Uwikłany w historię w cieniu Kremla*, którą opublikowano w miesięczniku „Kombatant” (nr1/2008). Dużą wartość posiada praca zbiorowa z 1998 r. *Z wschodu z kapelanem*, w której poza biografią księdza zawarto między innymi wspomnienia osób znających go osobiście. Wymienione prace niestety nie podejmowały tematyki jego pobytu w Laskowicach. Tymczasem pomimo niewielkiej ilości źródeł historycznych dokumentujących dokonania proboszcza laskowickiego na podstawie relacji ustnych parafian oraz dokumentacji pośredniej, takiej jak protokoły z posiedzeń gromadzkiej rady narodowej w Laskowicach z lat 1957-1964 oraz sprawozdań z wizytacji biskupich z 1958 r. i 1963 r., można ukazać działalność społeczną i duszpasterską księdza w Laskowicach.

Wilhelm Franciszek Kubsz urodził się 29 marca 1911 r. w Gliwicach w rodzinie maszynisty kolejowego Karola Kubsza i Jadwigi, z domu Szulc. Był on jednym z dwanaścioro dzieci. Dzieciństwo spędził w Wodzisławiu. Po ukończeniu szkoły podstawowej w 1924 r. udał się do Lublińca, gdzie pobierał naukę w Niższym Seminarium Duchownym Misjonarzy Oblatów. W 1930 r. zdał maturę i wstąpił do nowicjatu Zgromadzenia Misjonarzy Oblatów w Markowicach. Po rocznym pobycie u nich został przyjęty do Wyższego Seminarium OO Oblatów w miejscowości Krobia, gdzie przez dwa lata studiował filozofię, a następnie odbył 4-letnie studia teologiczne w miejscowości Obrze, w pow. wolsztyńskim, w woj. poznańskim. Zdobył tam także kwalifikacje technika dentystycznego (u misjonarzy był wymagany dodatkowy zawód). 21 kwietnia 1936 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Pozostał w seminarium w Obrze, jako prefekt odpowiedzialny za zaopatrzenie Seminarium Duchownego. 15 sierpnia 1939 r., jako wikary i prefekt otrzymał skierowanie do Łunina na Polesiu. W dwa tygodnie później rozpoczęła się wojna polsko-niemiecka. Po 17 września 1939 r. parafia łunińska znalazła się pod okupacją radziecką. Obawiając się aresztowania przez NKWD Kubsz opuścił Łunin przenosząc się do Łunińca – stolicy dekanatu, gdzie został wikarym przy dziekanie księdzu Poczobucie Odlanieckim. W lipcu 1941 r. otrzymał zadanie administrowania rozległej parafii Puzicze w powiecie Łuninieć. Po wkroczeniu Niemców na Polesie rozpoczął współpracę z partyzantką polską i radziecką – udzielał pomocy dentystycznej, kolportował prasę podziemną, wspierał organizacyjnie, materialnie i duchowo. Biegła znajomość języka niemieckiego pozwalała Wilhelmowi Kubszowi czuć się pewnie w konspiracji. W maju 1942 r. został aresztowany przez Niemców, którzy po krótkim śledztwie skazali duchownego na śmierć. Wyroku oczekiwał w więzieniu w Baranowiczach. Dzięki pomocy miejscowego polskiego ruchu oporu i strażnikowi więziennemu – katolikowi austriackiemu – uciekł z więzienia. Okoliczności ucieczki tak przedstawił ksiądz Wilhelm Kubsz w swoich wspomnieniach: *Pamiętnego dnia 2 lipca 1942 r. wyprowadzono mnie rankiem na przesłuchanie do SS. Ponowiono znane zarzuty. Próbowano mi wmówić dodatkowo autorstwo ulotki, w której Polacy stawiali Niemcom zarzut germanizacji i płucia w twarz narodowi polskiemu. Zdradziłem nazwisko autora tego tekstu – Marii Konopnickiej. Niemiec polecił odesłać mnie do więzienia. Przyjął mnie w bramie Austriak – Bogu dzięki, że ksiądz żyje. Dziś od rana wyprowadzono i rozstrzelano nowych 20 więźniów. Tu już ksiądz z rejestru wykreślono. Nic tu po księdzu. Wyprowadził mnie przez bramę rzekomo na kolejne przesłuchanie, wcisnął w rękę 20 marek. Niech ksiądz ucieka. Z Bogiem.*

Wkrótce dołączył do operującego w tamtym terenie radzieckiego oddziału partyzanckiego pod dowództwem pułkownika Wasilewa nazywanego przez partyzantów „Dziadzia Wasia”. W tym oddziale Wilhelm Kubsz znalazł schronienie i opiekę. Walczącym służył pomocą duchową i dentystyczną. Często pod opieką partyzantów odwiedzał okoliczne wsie, zamieszkałe w części przez katolików, którym niósł chrześcijańskie wsparcie. 5 czerwca 1943 r. prosto z lasu na okupowanym przez Niemców Polesiu ksiądz został przetransportowany samolotem do Moskwy. Stało się to na specjalne życzenie pułkownika Zygmunta Berlinga, który organizował I Dywizję Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Tworzone wojsko polskie miało mieć charakter narodowy i katolicki. Przed wyjazdem do Sielc nad Oką, gdzie formowały się polskie oddziały, Kubsz otrzymał jurysdykcję kościelną. Udzielił mu jej kapelan poselstwa USA w Moskwie, ksiądz Brown, który miał uprawnienia delegata apostolskiego. Polski duszpasterz otrzymał od niego także wino mszalne, hostie i komunikanty. Brokatowy ornat dostarczono mu z muzeum ateizmu w Moskwie, a sutannę uszył mu krawiec teatralny. Parafia wojskowa księdza majora Franciszka Kubsza (od tego czasu ksiądz zaczął posługiwać się drugim imieniem – Franciszek, gdyż bał się o los swojej rodziny na Śląsku) obejmowała 12 samodzielnych oddziałów i pododdziałów, 8 etatowych jednostek podporządkowanych dowódcy dywizji, a liczba parafian liczyła 16 500 osób. 15 lipca 1943 r. od pułkownika Zygmunta Berlinga i innych oficerów dywizji ksiądz major W. F. Kubsz odebrał przysięgę, zakończoną

słowami Roty: *Tak nam dopomóż Bóg. Żołnierze przygotowali kaplicę i ołtarz. Po latach Wilhelm Kubsz wspominał: W jego centralnej części znalazł się obraz Matki Boskiej na tle Orła Białego, po prawej – scena z martyrologii narodu, po lewej – wizja wskrzeszenia Polski – grób pod strażą żołnierzy, sztandar narodowy i unoszący się nad grobem zmartwychwstały Chrystus.*

Razem z I Dywizją Wilhelm Franciszek Kubsz wyruszył na front, uczestniczył w bitwie pod Lenino, błogosławiąc idące do natarcia oddziały, udzielając ostatniej posługi umierającym. Był kapelanem dywizji, korpusu, a od lipca 1944 r. generalnym dziekanem Wojska Polskiego. W styczniu 1944 r. wojska polskie znalazły się w Katyniu – miejscu, gdzie Rosjanie zamordowali w 1940 r. prawie 5 000 polskich oficerów. Z inspiracji władz radzieckich Franciszek Kubsz odprowadził nad mogiłami Mszę Świętą. W tym samym czasie Rosjanie opublikowali wyniki prac tzw. Komisji Burdenki, która wskazywała Niemców jako winnych potwornej zbrodni. W ten sposób duszpasterz został wciągnięty w „kłamstwo katyńskie”. Latem 1944 r. coraz wyraźniej widział zaostrzającą się walkę polityczną w obozie komunistycznym zmierzającą do znacznej sowietyzacji Polski, na co absolutnie się nie godził. Zapewne wtedy zaczął tracić poparcie Rosjan. 16 lipca 1944 r. brał udział w posiedzeniu Związku Patriotów Polskich w Moskwie. W trakcie obrad domagał się wprowadzenia nauki religii w szkołach na terenach polskich zajętych przez Armię Czerwoną i WP, krytykował wywózki wołyńskich Polaków w głąb ZSRR. Prawdopodobnie po tych obradach na moskiewskim dworcu próbowano wepchnąć go pod nadjeżdżający pociąg. Zdołał się uratować, ale uszkodził sobie wtedy kręgosłup – z tym urazem zmagał się przez całe życie. W styczniu 1945 r. popadł w konflikt z generałem Michałem Rola-Żymierskim na tle stosunku do żołnierzy Armii Krajowej. Ksiądz Kubsz uważał Akowców za równoprawnych partnerów w walce z Niemcami. Niestety dowództwo Wojska Polskiego realizowało narzuconą przez ZSRR politykę prześladowań wobec podziemia londyńskiego. 31 stycznia 1945 r. został odwołany z pełnionego stanowiska. Jak wynika z niektórych relacji groził mu sąd wojskowy. W obawie przed prześladowaniami komunistów znalazł się w klasztorze ojców oblatów pw. św. Krzyża koło Kielc, gdzie pod przybranym nazwiskiem, jako Franciszek Kopeć przebywał do 1947 r. Następnie przez kilka lat był zakonikiem w Poznaniu i Gdańsku, a w latach 1954-1957 był administratorem parafii Pawłowo w powiecie chojnickim, skąd trafił do Laskowic w pow. świeckim.

Ojciec Wilhelm Kubsz przybył na parafię w Laskowicach 27 lipca 1957 r., by sprawować obowiązki proboszcza. Parafia laskowicka liczyła około 2 000 wiernych (dane z 1958 r.), a swoim zasięgiem obejmowała nieomal cały obszar gromady Laskowice. W jej granicach leżały liczące ponad tysiąc mieszkańców Laskowice oraz znacznie mniejsze Kraplewice, Nowe Kraplewice, Belno, Lipno, Osłowo, Bedlenki. Wśród parafian przeważały rodziny rolnicze i kolejarskie. Pomimo ponad 10-letniej laicyzacji społeczność parafii w zdecydowanej większości nie kryła swej przynależności do

dokończenie na str. 30

Wilhelm...

dokończenie ze str. 29

Kościół, co uwydatniało się w uczęszczaniu w msze święte (w 1957 r. do kościoła uczęszczało w niedzielę ok. 1800 parafian). Ojciec Wilhelm Kubsz nawiązał dobrą współpracę z radą parafialną, w której znaleźli się rolnicy, kolejarze, rzemieślnicy. Priorytetową sprawą dla wiernych i proboszcza stała się kwestia budowy nowego kościoła, gdyż istniejący nie spełniał wymaganych potrzeb (kaplica mieściła się w prowizorycznym baraku). Niestety ich starania nie przyniosły pożądanych efektów. Władze nie wydały zezwolenia na budowę świątyni. Zabiegi proboszcza, który wielokrotnie naciskał na decydentów politycznych przyniosły dopiero sukces w 1966 r., kiedy rozpoczęto budowę świątyni. W 1962 r. z inicjatywy Ojca Wilhelma Kubsza przeprowadzono remont kapitałny kościoła stawiając wewnętrzne ściany z cegły, dokonując ich otynkowania i malowania. Parafianie czuwali nad stanem cmentarza oraz krzyży i kapliczek przydrożnych. Jak już wspomniano, religijność parafian laskowickich była zadowalająca. Ich proboszcz właściwie kształtował postawy religijne poprzez organizowanie raz do roku rekolekcji związanych z odpustem parafialnym, wspieraniem działalności bractw – przede wszystkim różańcowego. Wielkim przeżyciem dla wiernych były wygłaszane przez Ojca Wilhelma homilie, które przepajała miłość do Boga, człowieka i Ojczyzny. Niejednokrotnie kapelan odwoływał się do swoich przeżyć wojennych. Bez zarzutu organizował współpracę z gromadzkim środowiskiem oświatowym Osobiście, z dużym zaangażowaniem prowadził lekcje religii w szkołach podstawowych (Nowe Kraplewice, Laskowice), a po jej wycofaniu ze szkół w 1961 r. kontynuował edukację przy kościele. Każdego roku przygotowywał dzieci do I Komunii. W 1963 r. biskup chełmiński Zygfryd Kowalski bierzmował 265 młodych parafian, których formował duchowo Ojciec Wilhelm. W trakcie siedmioletniego pobytu poznał swoich parafian, których odwiedzał każdego roku w ramach wizyt duszpasterskich. Raz w miesiącu przybywał z komunią świętą do osób ciężko chorych. W pamięci parafian zapisała się sylwetka ich duszpasterza przemierzającego się po terenie parafii motorowerem.

Ojciec Wilhelm Kubsz należycie prowadził parafialną kancelarię. Wizytacje biskupie całokształt działalności proboszcza oceniały pozytywnie. Poza jurysdykcją diecezjalną Ojciec Wilhelm Kubsz podlegał władzom zakonnym oblatów. W Laskowicach od 1953 r. istniał dom zakonny, w którym mieszkał proboszcz ze współbraćmi (na początku lat sześćdziesiątych przebywało tam 6 kapłanów misjonarzy i 1 brat zakonny). Dobrze i bezkonfliktowo kapłan współpracował z lokalną władzą. Nieżyjący już Tadeusz Hernet – w okresie popaździernikowym zawiadowca stacji w Laskowicach, a także członek rady parafialnej – opowiadał autorowi, iż na prośbę kolejarzy Wilhelm Kubsz zdolny był wykorzystać swe wpływy w wojsku, ubrać się w swój mundur podpułkownika, przybyć do kolejowego posterunku milicji obywatelskiej i dzwo-

nić do najwyższych władz i przy obecnych milicjantach żądać zmian personalnych, co najczęściej realizowano. Nie odmawiał pomocy w sprawach socjalno-bytowych swoim towarzyszom broni. Edward Kula, nauczyciel z Bydgoszczy, dobrze pamięta jak jego ojciec Józef – żołnierz dywizji kościuszkowskiej, mieszkaniec Dragacza – kilkakrotnie jeździł do Laskowic w odwiedziny do swego kapelana.

Wypełniając należycie swoje obowiązki duszpasterza i zakonnika Ojciec Wilhelm Kubsz nie zapominał o swoim wojskowym powołaniu. Bezsukcesnie słał apele do najwyższych władz, by pozwolono mu wrócić do służby wojskowej (według W. Wysockiego sprzeciwiał się temu Marin Spychalski – ówczesny minister obrony narodowej). Tym niemniej każda okazja była dobra, by przebywać wśród kombatantów i towarzyszy broni, stąd był on członkiem Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Aktywnie działał w strukturach kombatanckich w Bydgoszczy. Również zaangażował się w województwie bydgoskim w działalność Stowarzyszenia „PAX”. Wykazywał aktywność w środowisku „księży patriotów” w ramach stowarzyszenia „Caritas”, gdzie był prezesem oddziału bydgoskiego.

Nie ulega też wątpliwości, że starano się go wykorzystywać dla interesów politycznych i ideologicznych. Wspominany Jan Wysocki w swojej biografii legendarnego kapelana przedstawił następujące zdarzenie: *Ksiądz Kubsz – przy wszystkich ograniczeniach dbał jednak, by nie przekroczyć granicy lojalności wobec Kościoła i spraw wiary. Pod koniec lat pięćdziesiątych Piotr Abrasimow, ambasador radziecki i dawny dowódca z partyzantki poleskiej zaprosił do siebie księdza Kubsza i zaproponował mu wyjazd do Utrechtu, gdzie ksiądz miał otrzymać konsekrację biskupią polskiego Kościoła Narodowego. Kapłan uznał tę propozycję za prowokację i opuścił ambasadę. Nie dał się wykorzystać i nie stał się narzędziem cynicznych planów komunistów.*

Dopiero w 1964 r. jego starania o powrót do duszpasterstwa wojskowego się powiodły. 26 czerwca tego roku opuścił parafię (pożegnanie w Laskowicach miała uwiecznić ekipa wojskowo-telewizyjna, która realizowała reportaż o kapelanie). Po wyjeździe z Laskowic znalazł się we Wrocławiu, jako proboszcz kościoła garnizonowego. W 1969 r. mianowano go pułkowni-

kiem. W latach 1970-1972 był kapłanem garnizonowym w Katowicach. Następnie, jako proboszcz garnizonowy trafił do Jeleń Góry, gdzie zmarł 24 lipca 1978 r. Co znamienne, I sekretarz KW PZPR Stanisław Ciosek zabronił orkiestrze wojskowej, kompanii honorowej i żołnierzom uczestniczyć w kondukcje żałobnym. Żołnierze czekali więc na cmentarzu i dopiero tam włączyli się w pogrzebowy orszak. Prasa i telewizja nie zamieściły żadnej relacji, czy to wzmianki z uroczystości pogrzebowych kapelana.

Siedmioletnia posługa w Laskowicach nie była dla księdza kapelana spełnieniem jego marzeń i pragnień. Niemniej jako zakonnik i proboszcz gorliwie spełniał nałożone na niego zadania, stale jednak liczył się z tym, że wróci do ukochanego wojska. W środowisku laskowickim został zapamiętany jako kapłan oddany Bogu i wiernym, bezkompromisowy, uczynny, skromny, życzliwy człowiek. Gmina Jeżewo i Parafia w Laskowicach, szczególnie po roku 1989, nie zapomniały o swoim duszpasterzu. Jedną z ulic Laskowic otrzymała w 1994 r. imię Księdza Wilhelma Kubsza.

Do dziś w ocenie postaci tego duchownego najwięcej kontrowersji budzi jego współpraca z komunistami. Cytowany Wiesław Jan Wysocki jednoznacznie jednak stwierdza, że Ojciec Wilhelm Kubsz nigdy nie wypowiedział posłuszeństwa swoim kościelnym zwierzchnikom. O ile w sprawach politycznych jego kompromis był wyraźny i miał duży margines, o tyle w sprawach kanonicznych nie było go wcale. ♦

Bibliografia

- Dąbrowski Z., *Dzieje gminy w latach 1945-2005*, w: *Gmina Jeżewo*, red. E. Brózdowska, J. Brózdowski, Z. Dąbrowski, Jeżewo 2005.
- Protokoły z Sesji Gromadzkiej Rady Narodowej w Laskowicach z lat 1959 i 1962, Archiwum Państwowe w Bydgoszczy.
- Protokoły z wizytacji kościelnych z lat 1958 i 1963, Archiwum Parafialne w Laskowicach.
- Topol A., *Wilhelm Kubsz (1911-1978) Pierwszy kapelan Ludowego Wojska Polskiego*, Katowice 1983.
- Wysocki W. J., *Uwikłany w historię w cieniu Kremla*, w: „Kombatant” nr1/2008.
- *Ze wschodu z kapłanem. Rzecz o księdzu – kapelanie I Polskiej Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki pułkowniku Wilhelmie Franciszku Kubszu*, red. W. Szklarski, Nadarzyn 1998.

Maciej Skomorowski

Neonowe napisy

Najlepiej jest patrzeć, nie mówić, powrócić
rozmyślnie do fitoterapii po pół
rocznej przerwie, wybrać się na spacer dość nagle,
łagodnie zanurzyć się w tych harmonicznych
zestrojach rozgrzanych barw zmierzchu nad
warszawskim Bemowem w lipcu, potem wjeżdżać
schodami ruchomymi na kolację, a wysiadając

maj(ąc) przed sobą
neonowe napisy. Jeść. Rozmawiać.
(Pomarańczowy zmierzch

nie oddaje to
“zbyt wiele powiedziane”).

Stanisław Topaz**Harklowsko-żółkowskie okostychy**

Żółków

Rynek pytania zadaje rozstajom
tam, gdzie się miasta trzy rzeki zbiegają.

Trawnik wygala robotnik z Husqvarny;
Tejrezjasz przędzie nici dla Ariadny .

w Żółkowie wznosi się poety chatka,
czcionki gromadzi sikorka bogatka.

Biel nocy, czerni dnia barwą się kołyszą,
myśli się słyszą, a wyrazy piszą.

Nieznana kliszą.

Nawłóć

Tutaj przechadza się wysmukły bażant,
dzień jest jak seler, a noc jak bakłażan.

Jaja wykrada z gniazd sójka niewierna;
w trawach buszuje zaś spokojnie jeź dna.

Muchy bzykają, szerszeń wszczyna taniec;
ziele wyrasta niczym na wulkanie.

Pień obok pnia się rozkoszuje w pozie,
nawłóć zazdrości zamorskiej mimozie.

Wszystko w swobodzie.

Kalejdoskop dnia

Żółcią, zielenią chwalą się dziewanny;
bocian na żer swój wychodzi poranny.

Konik się polny swym skokiem salwuje,
w koniczyn liście poczwórne ląduje.

W rowie przemyka się w wodzie zaskroniec,
południe głosi swym szczebiotem dzwonic.

Nocny zwiastuje lot „Hu..hu...” zaś sowa.
Gdy świt powraca – dzień pędzi od nowa.

Piękno i powab.

Jeź dna

Jeź dna nastroszył swoje ostre kolce,
które powstrzymać mogą nawet żmiję.

Niech ona spocznie w jakiejś ciemnej norce,
w tej sobie niech tam hibernacji zgnije.

Lot aż do słońca przyśnił się biedronce,
żmija zabita kijem samobijem.

Patrzę na jeża, stroszy się poczwórnie.
Biedronka, język – czy nie brzmi to dumnie?

I wprost rozumnie?

Niezawisłość

Zachęca chrabąszcz, liści szuka ślimak.
Spada na ziemię z drzewa żuk Poego.

Po znojnym lecie, choć zmienia się klimat,
wciąż w ludzkich duszach płynie rzek Acheron.

Są na tej ziemi i nie tylko w rymach
kręgi zaświatów, tak jak u Dantego.

Gdy ewokują wolność – siostró, bracie,
Wolność i Ósma płasają po chacie.

Stwarzają zacier, wbrew apóstacie.

Stefan Pastuszewski**Czereśnia**

ja widzę dramat
w białych butach, których nie opiszę
jak inni poeci-reporterzy dokładnie
kupione, ale jak je utrzymać w stanie

ale tu bardziej chodzi o twarz i sylwetkę
co miały być inne
według żurnali, filmów i standardów
a przede wszystkim tej Moniki
z naprzeciwnika
myśli mojej

dramat zastępstwa
i wyciągania ręki po czereśnię
której nigdy się nie dosięgnie

dramaty chodzą po ulicy
w obcisłych spodniach z pupą jak słońce
i z wolnymi biustami na wiatr
tudzież z mocnym kopnięciem przypadkowego kamienia
w kosmos
i dalej

Adam Michalak**Wiśnia**

To nie było jak sen choć prawdziwie śniłem
że rozmawiam ze zmarłym

dziadek oznajmił smykowi że chce ściąć drzewo
w pokoju niespodzianie zatopionym w ciszy poranka

rzeka wychodziła z brzegów świadomości
wartkim prądem zataczając kręgi szybowyła jaskółki

zagnieżdżone w przydomowym ogrodzie
świerszcze nastrojały solenizantów
życząc 100 lat płonęły mleczce jak świeczki tortu

rozkrajany przez cztery poru roku
żywopłotem mojego cienia żywił owoc wiśni
i posiadał czar

pamiętam drżały kwiaty w bieli śniące
o podniebieniu czerwonym od mięszu
gdy zaprotestowałem

pestka przeżutym pięknem potwierdziła
słodko cierpki smak ściętej po latach na opał
krążącej w żyłach opowieści

Na jagody

Nastał piękny upalny dzień. Moje gołe stopy błędziły gdzieś po dziurawym trawniku, a umysł zakorzeniony był w rozmyślaniu nad sensem mojego nieistotnego życia. Od kilku dni w okolicy łazienki naszego letniskowego domku, kręciło się sporo os. Jak to bywa w przypadku dziurawych konstrukcji z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, zdarzało się, że jakiś mniejszy lub większy szkodnik, dostawał się na teren domostwa. Miałem jednak, swoje założenia i problemy związane z szeroko pojętym życiem nędznika, dlatego też temat ten spychałem regularnie na dalszy plan. Dopiero co rodzina nietoperzy, łaskawie wyniosła się z mojej surrealistycznej toalety! Jak widać natura, nie znosi pustki.

Kiedy to już zainteresowałem się bytowaniem nowych gości w strukturze elewacyjnej mojej lepianki... W odpowiedzi od Matki Natury, otrzymałem atak pasożytniczego zwiadowcy, na mój praktycznie łysy cymbał. Ten wykonujący swoje owadzie obowiązki, mały, żółty chuj, użądlił mnie prosto w czołową część czaszki. W sumie... To już co roczna tradycja, ale żeby prosto w cymbał? W zeszłym roku, osę przygniotłem własnym sadłem. Głupia sprawa, podczas wykonywania prac ogrodowych, kucnąłem. W tym samym momencie, dwie tłuście fałdy mojego brzucha, radośnie pojmaly przelatującą w bezpośredniej okolicy osę. Dajcie spokój! Teraz się wkurwiłem. Wziąłem permetrynę zmieszaną z jakimś udarem i zrobiłem komorę gazową. Efekt był piorunujący, również dla mnie. Lekko przysnąłem i w tych kilku sekundach letargu, ujrzałem Kubę Wojewódzkiego, który takie prace zleca profesjonalistom, samemu w tym czasie zającą platynową łyżeczką kawior z jesiotra. Czemu akurat jego? Nie wiem. Pomyślałem sobie wtedy, że być może tak gina czasem ubodzy lub głupi posiadacze terenów rekreacyjnych. Aktualnie mam 39 st. gorączki i nie wiem... Czy to permetryna? Czy to ugryzienie tej pasożytniczej gnidy, prosto w okolice mojego stale kurczącego się mózgu? Czuję się bardzo podobnie, jak podczas zarażenia wirusem covid. Generalnie spisałem testament. Zapiisałem sąsiadowi wkretarkę, żonie rdzewiejące auto oraz działkę pełną niedoli. Dzieciom spisałem instrukcje „jak nie żyć”. Natomiast osobie najczęściej reagującej na moją twórczość, po mojej śmierci, oddelegowana do tego osoba, przekaze – nieużywane majtki od Walendziaka (Walenciaga). To przy okazji, na pamiątkę mojej konsumpcyjnej cnoty.

Tymczasem minęły 24h, a Wy na pewno zastanawialiście się, co u mnie. To jedna z niewielu dobrych rzeczy, jaka mnie spotyka. Mianowicie to, że tak wiele osób czyta moje wypociny. W każdym razie, jest mi ciut lepiej, dziękuję. Generalnie nadal mam gorączkę i kryzys wieku średniego (choć to skomplikowane, bo mentalnie jestem krzyżowcem, usytuowanym gdzieś między piętnastym, a osiemdziesiątym piątym rokiem życia). Poza tym mam depresję na punkcie swojej egzystencji i prawdopodobnie zajęte permetryną płuca. Znając moje szczęście, może być to również zbieg

okoliczności, a trapiące mnie dolegliwości to covid, wzmocniony udarem słonecznym. W moim życiu, nic, nigdy nie było klarowne, ani przewidywalne. Chyba, że fakt co rocznego wpompowywania wszystkich luźnych pieniędzy w wiecznie psujące się auta, niedostatecznie duże mieszkanie z rynku wtórnego i działkę, która rekreacyjna jest tylko z nazwy. Nic tam się nie zgadza, poza tym że co roku czycha tu na mnie śmierć. Co jeszcze... Kupiłem kolejny eksponat niemieckiej motoryzacji, ale to już wiecie (z desperacji mógłbym napisać doktorat). Wszystko przez to, że autobus linii 220, rozpieprzył mi moje właściwe auto. Nie pojechaliśmy przez to nad morze. Moja wielokanałowa klimatyzacja wirnikowa, schładza nam w mieszkaniu temperaturę o 1 stopień. Chwilowo nie mam pracy, wszystkie moje biznesy nie wypaliły i niebawem prawdopodobnie zostanę cieciem, dumnie zatrudnionym na umowę o pracę. Ponad to mam w domu kundla, który puszcza mordercze baki o palecie zapachowej prosto z piekła i stadko innych zwierząt, które moja małżonka kocha bardziej ode mnie. Mój syn właśnie obrał kilo ziemniaków, w taki sposób, że obiad będę musiał zjeść z chlebem. Ale to nie problem, gdy po gotowaniu w twoim mieszkaniu, temperatura rośnie do 40 st. I tak niespecjalnie chce się jeść.

No dobrze, ale może jest coś, czym jednak mogę się, aktualnie pochwalić... Chyba tak... Mamy kupca na mieszkanie „na już”. Do tego kupiliśmy projekt domu modułowego, do którego moglibyśmy się wprowadzić zaraz po nowym roku. Powiedzmy w przyszłym sezonie wakacyjnym.

Kupując domek z kartonu, pozbylibyśmy się kredytu hipotecznego. Następnie wiele lat podziwialibyśmy gołe ściany i gardząc internetowym zasięgiem, szybko doczekalibyśmy się prawdziwie nieskazitelną nienawiści, ze strony naszych dzieci. W tym samym czasie, rodzina na tle naszej porażki robiłaby sobie zdjęcia. Nie jestem niewdzięczny. Stwierdzam tylko, że z moim udziałem, skończy się to jakaś katastrofą. Np. wyrośnięty zając przewróci drabinę na której będę stał, spadną krtanią prosto na wygrzewającego się w słońcu szerszenia i moja lepsza połowa zostanie w tym zagajniku sama. Bez prawa jazdy, bez pracy i przez cały rok razem z dziećmi będą jeść leśne jagody i wędzone osy. Najważniejsze, że tymczasowo Bóg jest po naszej stronie i nad głowami nie świsają nam kule. Nie cierpię, nie cierpię! ♦

Antologia „Akantu”

Ukazała się *Antologia „Akantu”* za lata 2018-2022. Zawiera ona spis autorów z tego okresu wraz z ich sylwetkami oraz fotografiami, a także – co jest ważne dla literaturoznawców – spis recenzji i opracowań twórczości. Antologię taką wydajemy co 5 lat, dzięki czemu bardzo łatwo można znaleźć poszukiwany utwór. Antologię można nabyć korespondencyjnie w redakcji „Akantu”.
Cena wraz z przesyłką: 35 zł
Nr konta: 03124011831111001002291025

Nowe tytuły

Krzysztof Budziakowski, *A jeśli ja już nie żyję?*, Kraków 2025, Wydawnictwo Austeria, ss. 76.

Stefan Jurkowski, *Bezpowrotność*, Kielce 2025, Wydawnictwo Ston-2, ss. 82.

Sławomir Olesiak, *Cierpienia starego Wetera*, Bydgoszcz 2025, Instytut Wydawniczy Świadectwo, ss. 70.

Bartłomiej Kierzkowski, *Dziennik niepogody*, Towarzystwo Słowaków w Polsce, ss. 128.

Wiesław Rzepka, *Ogród fraszek*, Bydgoszcz 2024, Instytut Wydawniczy Świadectwo, ss. 68.

Dariusz Malach, *Rozmowy z Jahwe*, Bydgoszcz 2025, Instytut Wydawniczy Świadectwo, ss. 78.

Wojciech Kajtoch, Jadwiga Mizińska, *Zdążyć z prawdą...*, Kraków 2025, Wydawnictwo Aureus, ss. 236.

Alicja Kubiak, Jacek Rosiak, *Skrawki dzieciństwa*, Poznań 2025, Wydawnictwo Ridero.

Adam Decowski, *Mała rzecz, a śmiesz*, Rzeszów 2024, Wydawnictwo Autorskie, ss. 84.

Krzysztof Topolski, *Lekarstwa na PIS w pigułkach*, Szczytno 2025, Wydawnictwo Arbitror, ss. 340.

Maria Znamierowska, *Dzieci Dawidowe*, Toruń 2024, Wydawnictwo Publikkor, ss. 74.

Arkadiusz Irek, *Na pomoc przeznaczeniu*, Wąbrzeźno 2024, Wydawnictwo Autorskie, ss. 64.

Czesław Sikorski, *Liberalizm społeczny – wizja lepszego świata*, Gdynia 2025, Wydawnictwo Novae Res, ss. 298.

Agnieszka Dębek, *Sztorm*, Bydgoszcz 2025, Instytut Wydawniczy Świadectwo, ss. 356.

Piotr Nowak, *Zeszyt z wierszami, których nikt nie potrzebuje*, Wrzesnia 2023, Wydawnictwo Autorskie, ss. 60.

Bogdan Białek, *Ostatni Hiob*, Kielce 2024, Wydawnictwo Teofrast, ss. 54.

Rafał Berger, Janusz Nowastowski, *Inżynier Stefan Ciszewski – pionier polskiego przemysłu elektrotechnicznego – i jego fabryka*, Bydgoszcz 2024, Stowarzyszenie Elektryków Polskich, ss. 38.

Sławomir Krzyśka, *Aforyzmy*, Bydgoszcz 2025, Instytut Wydawniczy Świadectwo, ss. 58.

Anna Blachucka, *Sześciu synów Szaficera*, Kielce 2025, Wydawnictwo A.B., ss. 190.

Guido Barbujani, *Tacy byliśmy*, z włoskiego przełożyła Joanna Ganobis, Rzeszów 2025, Wydawnictwo Libra, ss. 220.

Anna Sakowicz, *Na dnię duszy*, Wydawnictwo Purple Book, Ożarów Mazowiecki 2025, ss. 352.

Luba Ristujczina, *Ikony*, Bielsko-Biała 2023, Wydawnictwo Dragon, ss. 192.

Grzegorz Korczyński, *Herbarz szlachty polskiej*, Bielsko-Biała 2023, Wydawnictwo Dragon, ss. 160.

Wierszowizni, przekład Ares Chadzinikolau, Wieluń 2025, ss. 352.

Gabriela Anna Wojtczak, *Cienie samotności*, Bydgoszcz 2024, Instytut Wydawniczy Świadectwo, ss. 122.

Sławomir Ciecierski, Kaja Potrzebska, *Cześć Pieśni! 140 lat Towarzystwa Śpiewu Halka Chóru Męskiego w Bydgoszczy*, Bydgoszcz 2023, Dom Wydawniczy „Margafrsen”, ss. 112.

120-lecie społecznego ruchu muzycznego na Ziemi Bydgoskiej, red. Janusz Stanecki, Bydgoszcz 2021, Wydawnictwo Tekst, ss. 90.

Radosław Bicz

Ogłoszenie drobne

w związku
z upałami
poszukiwane
do towarzystwa
oziębłe kobiety

Jestem Dekadentem
fascynatem Turpizmu
oraz pesymistą...
Chyba że jem arbuza...
Wtedy jestem fanem arbuza.

jeśli chodzi
o sztukę
to doszedłem do wniosku
że moją ulubioną jest sztuka
mięsa w sosie chrzanowym...

Życie...
może i jest jak
pudełko czekoladek
ale zawsze można
odwrócić pudełko i poczytać...

A gdyby tak
Dawid miał Glocka
to Bóg
do pokonania Goliata
nie byłby potrzebny...

Juliusz Wątroba

W siódmym niebie

O – nadęci poeci
lecą w balonach wierszy
oraz megalomanii
aż do Wielkiej Brytanii,
lub Birmy czy Laosu,
by najeść się patosu
i uwierzyć, że cali
są wielcy niczym kosmos!
A to rzesza... krasnali
- beztalencia żaloszność...

Juliusz Wątroba

AFORYZMY

*
Z pragnienia kropli ocean.
*
Po co ci wiatr, gdy nie masz żagla?
*
Samotna wyspa nie tęskni do lądu.
*
Słońce – guzik u płaszcza Pana Boga.
*
Wiatr rzeźbi w powietrzu niewidzialne dzieła.
*
Z czym się rzucać na słońce, gdy zabrakło motyk?

Marek S.Podborski

UKŁAD ZAMKNIĘTY

Żur winny

Wina żura wina

Koślawe dożynki

Tura kos tura

Leśna kochanka

Suka bor suka

Rozpustnica grzybica

Dziwka praw dziwka

Burzowy spacer z włoszczyzną

Żona pora żona

Leszek Wierchowiski

FRASZKI

Zawsze praca

W nocy figle i pieszczoty,
I w dzień! Także do roboty.

Cierpienie i seks

Cierpią mężczyźni i babki hoże:
Raz – ona z nim, raz – on z nią... nie może!

Dorota Czerwińska

w apce

jedno
ostrzeżenie na dziś
lokalne ochłodzenie
może spaść temperatura
przy gruncie
do minus jeden
więc zmarzną nogi
zmarzną uszy
i pomidory w donicach
na siedemdziesiąt procent
kto czuje się pomidorem
niech zarzuci płachtę

ostrzeżenie z wczoraj

lata wiedźma z siekierą
i tylko straszy

SATYRA

Elżbieta Grabosz

Inspiracje Wierchowiskim

FRASZKI

Do Jana z Czarnolasu

Tylko z Janem z Czarnolasu,
warto było iść do lasu.
Bo to chłop był nie półgłówek
nie szukałby w ściółce mrówek.

Panna jak złoto

Cała wieś ją znała.
– Skoro byłaś taka złota,
czemuś zardzewiała?

Marek S.Podborski

Genotyp

Kasia z Podlasia
Ala z Podhala
Ola z Podola – potem
Aleksandra Śląska
Piach Kujawski
Pazur z Mazur
Zorza z Pomorza
Miss nauk z Pałuk
Czesia z Polesia
Róża z Pogórza
Koń Huculski
Wielka Biała Zwisloucha

Polski Owczarek Nizinny

Konkurs literacki
OPOWIADANIA Z DZIEJÓW
KORONY POLSKIEJ
dla upamiętnienia
1000 rocznicy koronacji
Bolesława Chrobrego

Do dnia 30 czerwca 2025 r. każdy pełnoletni autor może przesłać na adres elektroniczny (redakcja@monarchia.info.pl) opowiadanie napisane prozą w języku polskim, zawierające nie więcej niż 20.000 znaków w standardowym, edytowalnym pliku tekstowym, wraz z wymaganymi a niezbędnymi zgodami, zamieszczonymi z regulaminem na wirtualnej witrynie organizatora (www.monarchia.info.pl).
Pięciosobowe jury pod przewodnictwem Jana Lecha Skowery, prezesa Fundacji Korony Polskiej, do końca września oceni wszystkie prace, a uroczyste wręczenie nagród odbędzie się we Wrocławiu podczas zakończenia obchodów Millenium Królestwa Polskiego dn. 22 listopada 2025 r.

Przestrzeń czasowa osadzona w faktach, w poezji Zbigniewa Milewskiego

Mówię tutaj oczywiście o ostatnim tomie warszawskiego poety pod jakże... osobliwym tytułem *Nie Samotne Hologramy*. Dziś owe hologramy są wszechobecne i nieodzowne. Tylko niewielu wie co to takiego. Wyjaśniam za Wikipedią – „zapis fotograficzny na nośniku przynajmniej dwufalowego obrazu interferencyjnego, który w odczycie daje dwa niezależne od siebie obrazy przestrzenne 3D (trójwymiarowe)”. Proste... jak operacja wątroby, trzustki i układu pokarmowego. Stosowane jako naklejki samoprzylepne lub na foliach metalizowanych do zabezpieczenia oryginalnych produktów, w tym i banknotów. Ale tu stos hologramów poecie nie grozi?

ZBIGNIEW MILEWSKI (rocznik 1969) poeta, antologista (nie mylić z antagonistą jak dla podniesienia splendoru „twórczości” wypocin, zaznaczył sobie w notce biograficznej kiedyś, wierszokleta z regionu... bogatego gospodarczo, tam łatwo o sponsorów), krytyk literacki. Autor jedenastu zbiorów poezji. Postać w polskim krwioobiegach pisarskim znana, szanowana i nagradzana: „Zasłużony dla Kultury Polskiej”; całokształt twórczości Nagroda Literacka im. Juliusza Słowackiego; Złote Pióro (XVI Światowych Dni Poezji UNESCO 2016); Medal Labor Omnia Vincit (za osiągnięcia twórcze i krytyczne od Towarzystwa im. Hipolita Cegielskiego w Poznaniu); Brązowy Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Tłumaczony od Europy po Chiny! Drukowany w najważniejszych krajowych i zagranicznych antologiach prezentujących współczesną poezję polską.

Tytuł co trzeba pochwalić i zaznaczyć, wpisuje się w konsumpcyjność i atak produktów na wszystkie sfery życia współczesnego i uzależnionego od dóbr przemysłu człowieka. Poeci są na takie kody wyczerpani. Przypomnę *Mimośród* sprzed ponad półwiecza, wielu tomom poetyckim służący za imię?! I dużo wcześniejsze *Ucho igielne* tak często nadawane na chrzcinach zbiorom wierszy i prozy. A przecież pierwszy próbował przez nie przejść Leopold Staff w 1927 roku. „Dobry gust, wrażliwość na piękno, na sztukę i artyzm – są rzadkością. Człowiek przeciętny wybierze kicz, który przyciągnie go większą jaskrawością, dosłownością, łatwością, sentymentalizmem”. – Podpowiada mi Ryszard Kapuściński w *Lapidarium VI*.

Zbigniew Milewski tom podzielił na pięć rozdziałów, każdy osadzając w przynależności „umownie” klubowej. Liryka zgromadzona w zbiorze naświetla czas i miejsce jej powstawania z leksyką kontekstu sytuacyjnego. Wydarzenia z gardzieli nachalnych/rozwydrzonych mediów nie budują u poety w świadomości „prawdy właściwej” – jak u większości społeczeństwa? O zgrozo! – Tylko jak przystało na przewodnika narodu (dawno zepchnięty na margines przywilej/obowiązek). Własnym doświadczeniem i tchnieniem Bożym zamyka w refleksji wiersza „szum czystego źródła” wiedząc, że „Piekłem jest historia?” A „Poeta żyje dopiero po śmierci”, niosąc w słowach odwagę na barykady, otuchę w ciemność lochu, ulgę w tęsknocie kochankom i wygnanym, nadzieję chorym,

oparcie bankrutom. Są jak Wisła – przyjazna. Z podwójnym nurtem miejscami – zdradziecka. Wytyczne iście doby romantyzmu, żachnie się czytelnik. Nie. Poezja dostosowuje się do potrzeby czasów. Bądź okresu przywołanego/kreowanego przez poetę, tu Zbigniewa Milewskiego rozumiejącego jak nikt inny Mnemosyne – Muzę Pamięci rozpiętą pomiędzy Homeryckim krzykiem a Milczeniem, pomiędzy Nadmiarem a Deficytem. Pomiędzy... „Biada temu, kto wyrusza i nie powraca” – ostrzega Oskar Miłosz. Potwierdzeniem „Pożegnanie z córeczką”, rozdział I. **PacyfaClub**.

Nie urośnie już, córeczka bez lęku o dom, kiedy z nieba może spadać śmiercionośny złom, kiedy modli się, by w nocy nie spadały gwiazdy, choć w dzieciństwie ich spадanie chciał zobaczyć każdy.

Obudziła się córeczka od wybuchu bomb, zobaczyła w tle córeczka jak się ściany tłą, jak się na nich cienie ludzi w szale wiją, palą, lecz przemienię ci córeczko ziemię twardą.

Gdy ubrali mi córeczkę i wywieźli w noc, to poczułem jak się w sercu narodziła złość. Wyjechała, ja musiałem zostać bronić ziemi, czy spotkamy się córeczko tego już nie wiemy.

Rozpacz ojca po stracie córki – w szerokim kontekście walki i zniszczeń miasta tu oczywiście chodzi o powstanie warszawskie, nie mnie oceniać jego sens, poeta również tego nie robi – i rodząca się złość (patriotyzm). Gdzie osierocony ojciec (Naród) staje do obrony ziemi (tu Stolica/Ojczyzna). Kult powstańca/obrońcy rozsiewa się na kolejne pokolenia warszawiaków, ale i osiadłych (krzaków) w jego granicach. Czego przykładem jest Milewski urodzony przecież w Sosnowcu. Ten kontekst obrońców własnej ziemi pokazuje i na przykładzie Ukrainy: „Karabin lub ucieczka / z płonących domów. (...) Snajperzy z Rosji / uwięzieni przez stróża. / Nie strzelają z dachu. (...) Wciąż na pancerze / koktajle mołotowa / najsukuteczniejsze”. Puentą pytanie: „Na Ukrainie / dziś Środa Popielcowa, / popiół czy diament”, Milewski pisząc utwór nie znał odpowiedzi. Czuł piekło przeszłości (Wersal, Teheran, Jałta) – zawsze silniejsi wyznaczają granice i piszą „historię przyszłości”!

Na wskroś odważnym i ciekawym utworem w tomie są „Słoneczniki – ballada romantyczna” z zaczerpniętą – na pierwszy rzut oka – fabułą z ballady „Lilije” Adama Mickiewicza (dedykacja A.M.). U wielkiego romantyka kobieta zdradza przebywającego na wojnie męża, gdy ten wraca do domu, zabija go obawiając się zdemaskowania niewierności. Na grobie sadzi lilie (symbol czystości, niewinności, dziewictwa). Nie zdając sobie sprawy z nadprzyrodzonej mocy sprawiedliwości. W utworze Milewskiego zaś przebijają się – obym się mylił – prawdziwy charakter

ludu ukraińskiego, utrwalony w świadomości Polaków poprzez rzeź wołyńską. Mimo, że my Polacy na przestrzeni wieków także nie byliśmy bez winy. Posłuchajcie, jak zbrodnia znajduje motyw i usprawiedliwienie:

Odkąd kraj napadli
Niepodległy, Swita
znenawidziła Moskali.
Jej mąż Sowiet Sasza
nie chciał Ukrainy,
został więc zabity
(...)
Biegła potem do cerkwi
biała niczym chustka,
przerażona, we krwi,
we drzwi księdza stuka
„Ojcie ratuj, mąż, trup!”
krzyczy sztywna jak słup.
„Nie dochowałam wiary,
nie chciał Ukrainy
Wolnej z tej przyczyny
zabiłam, czekam kary!
(...)
Odrzekł jej ksiądz stary -
(...) od rodziny boisz się kary?
Będzie więc tajemnica.
Nikt nie będzie winił
wiernej mężobójczyni,

bo jest prawo Boże,
co uczyniłaś skrycie,
mąż ujawnić może,
a on stracił życie.
(...)
A tam czekają Sowiety,
bracia męża, niestety.
(...)
Bracia kłamstwo poznali,
Czuając się oszukani
Nocą zgwałcili dziewczynę!
Żaden grzech, bo w rodzinie!
Dni mijają, tygodnie
straszne jak to na wojnie,
(...)
Cofają się Sowiety!

Ziemia żyzna nie marna
Chcą się dobrać ziarna,
naginają słonecznik
- wychodzi spod korzeni
trup gnijącego Saszy,
za gwałt żony straszy:

„Nikt nie będzie winił
Swity mężobójczyni,
gdy zabiła z miłości
dla ojczyzny wolnej!
A dla waszych kości
za gwałt będę grobem,
(...)
Wdowa rzuca granatem,
ginie brat za bratem!
Słonecznikiem zasiała,
Siejąc sobie śpiewała:
(...)
nie kochali Ukrainy

Dramat ludzkiego losu, w całej jego

zarliwości i dumie... Tej dumie, która pozwoliła przetrwać upokorzenia wielowiekowej niewoli. Stąd symbol słonecznika – duma, pycha... i niewdzięczność – z, którą spotkało się wielu naszych rodaków ofiarujących schronienie uchodźcom – na początku wojny – zza wschodniej granicy.

W rozdziale II. **NaturaClub** utworem przewodnim jest sonet „Młynski”. Autor przywołuje kołokrąg istnienia od dni pierwszych: „nadawał imię / do nazwania strugi, trawy czy motyla”. – Pamiętamy... oczywiście z Biblii stworzenie świata. – „Mówił, że w kaskadzie / ciemnej wody na łopatkach koła spadają / gwiazdy, które nie spełniają życzeń”. Ciemna woda; czas bólu, wojen, zarazy. „Głupek nosił w sobie ten młyn” – odniesienie do przywódcy/przywódców zamieniających kontynenty w ruinę z niezliczoną ilością mogił. I racją silniejszego: „Nie chciał pływać nago w wirach strugi // - siłą zdjąłem mu portki. Skoczył i wyłowił / mokre. Miałem ubaw”. Dodam jeszcze jakże obrazowe dwa wersy z „Przedwiośnia”. „Pola, w pamięci / więcej białych płam”.

Jest zagubienie człowieka/jednostki w świecie pełnym pokus i stresu. Labirynty i tunele wabią łatwym zarobkiem, seksem, luzem ofiarowanym przez „węża z wódką”, z białym proszkiem. W rozdziale III. **Po-eticClub** Milewski w jego imieniu: „Diable Stróżu, już nie wołam Ciebie, byś mnie / wyrwał i dopełnił w życiu. Oczekuję / spo-pielenia! Diable Stróżu, niech nie biela // moich kości na cmentarzu, lecz w poezji, / zakazanym owocu poznania dobra i zła. / (...) // Znikam. Jest i będzie nieobecne miejsce”. Wszechmocny demon pisany dużą literą dla podkreślenia jego potęgi. Wielu piszących nadepnał; wręczając butelkę bez dna; sznur. Prowadząc do otwartego okna, na przeszło mostu, na tory. „Cienie mam dla towarzystwa, ale jakie - / znane z lektur i gazet. mówią, że mam talent // i odchodzą umarli dla świata pełni wspomnień, / które palą ich wnętrzności bardziej od wódki / pitej z literatek”. Wokół Milewskiego duchy „bo na przekór światu Polska to Poeta!”

Ganimedes w rozdziale IV. **GwiazdaClub** podczaszy na Olimpie, roznosi Zeusowi i bogom ambrozię i nektar. Dające nieśmiertelność i wieczną młodość. Jak poetom zakutym w słowie, którzy odeszli u progu życia z wyroku demona, ale i na wojnach, w powstaniach, wycięci chorobami i głodem. Poeta mistrzowskim skrótem przedstawia porwanie Ganimedesa przez orła, budując obraz poetycki dla czytelników... z szeroką wyobraźnią. To samo dotyczy wiersza „Czerwone wino”. Małeńki cytat: „kleiły się stronicie w książce / od potu i komary usypiały we krwi”. Zresztą zdecydowana większość utworów Milewskiego wymaga racjonalizmu i łączenia faktów. Podmiot liryczny w wielu wierszach zwraca się do trzeciej osoby. **ON** jest bohaterem, rozmówcą, adresatem, wyrocznią. W tych wierszach czujemy prawdę sztuki. A manifestacją jej jest milczenie i cisza. Stajemy po drugiej stronie słowa: nie znaczącego, ale znaczonego?...

Kolejny odważny a może prowokacyjny? utwór: „Szymanowski”, rozdział V. **MuzaClub**:

Spojrzyć jeszcze raz na Tymoszwówkę i staw zarośnięty pałką, tatarakiem, pałac.

Zjeść kolację na werandzie pod kiściami

granatowych drobnych winogron i rozebrać się do naga, by popływać, niczym prosić chłopcy z ludu albo bardziej mitologiczni

bohaterowie. Czuję na ramieniu Jego dotyk. Jestem nagim fortepianem. Pełni świadomości ciała stajemy się początkiem

sztuki i wspólnego mitu, inicjacji bólu, który jest początkiem życia. W ciszy nocy, w rytmie pełnej upojenia sztuki

ars amandi, tu i teraz tak dla siebie.

Wielu z nas zatopionych w literaturze zwłaszcza Jarosława Iwaszkiewicza, marzy o powrocie „do wczoraj”. Do majątków szlacheckich na kresach, gdzie mityczność tamtych miejsc przepełnia wyobraźnię, jakby tam wtedy wszystko było sielanką. Zapominając o buntach miejscowej ludności. O podpaleniach i samosądach. Poeta przywołuje Tymoszwówkę, miejsce narodzin i własność do rewolucji Karola Szymanowskiego – kompozytora, pianisty, pedagoga i pisarza. Rozmyślenia poety – ja lirycznego – krążą wokół pałacu, stawu zarośniętego pałką, tatarakiem, werandy pełnej kiści winogron i seksualności – przypadek Ganimedesa i Zeusa budującej sztukę – ars amandi. Z szerokim spektrum znaczeń...

Zbigniew Milewski pochodnią emocji rozświetla każde słowo zawarte w zbiorze, każde „rozdanie” twórcze. Zdając sobie sprawę, że jego poezja przemawia zawsze osobnym kodem do indywidualnego odbiorcy. ♦

Zbigniew Milewski *Nie Samotne Hologramy, Fundacja Literacka „Jak podanie ręki”, Poznań 2025, s.84.*

A może by tak wskrzesić arkusza poetyckiego

Jako integralną część **Ogólnopolskiego Miesięcznika AKANT**, wydanie papierowe. Dostępny w rozpowszechnianiu wg klucza wydawnictw obowiązkowych w obiegu bibliotecznym.

Niestety arkusza byłby płatny, ale symbolicznie. Redakcja Jolanta Baziak.

Poniżej proponuję zapoznać się z cytatem, który polecam.

Osiąganie poszczególnych szczebli wiąże się z nobilitacją artysty słowa. Trwalsze uznanie dla twórców poezji z pominięciem publikacji utworów w formie książkowej jest praktycznie niemożliwe. Jeżeli istnieją tacy twórcy, którzy poszukują rezonansu dla swojej poezji, poprzez upowszechnianie jej jedynie w formie ustnych recytacji, melorecytacji, odczytów (współcześnie tzw. performance), to ich kontestacja rynku książki ma jednak dość ograniczony żywot. O ile twórczość wspomnianych „kontestatorów” okaże się znacząca, wkrótce po ich śmierci ktoś zechce zebrać spuściznę, opracować krytycznie i opublikować jako „dzieła wszystkie”. Obserwacja reguł funkcjonowania literatury pokazuje, że publikowanie utworów jest niemalże tak ważne jak ich tworzenie.

Jacek Ladorucki. *Książka poetycka jako zagadnienie badawcze: zarys problematyki* Acta Universitatis Lodzianensis Folia Librorum-r2005-t12-s51-68.pdf

Maria Balcer

Bezwzględna geometria życia

Matematyka, zwana – zapewne słusznie – „królową nauk”, nie jest moją ulubioną dziedziną, ale z wiekiem coraz boleśniej przekonuję się, że ma ona wiele wspólnego z ludzką egzystencją. Gdyby pokusić się o opisanie różnych momentów życia terminami zaczerpniętymi z algebry czy geometrii: „mnożenie”, „dzielenie”, „wierzchołek”, „sinusoida”, „poza nawiasem” – mogłoby się okazać to nadzwyczaj trafne. A ileż razy, próbując zrozumieć codzienne zawiłości, czujemy się „skołowani do kwadratu”!

Takie matematyczne skojarzenia przydarzyły mi się po lekturze liryki Stefana Pastuszewskiego ze zbioru zatytułowanego „Na krawędzi”. I nie są to skojarzenia przyjemne, przystające do tego, co chcielibyśmy o życiu – szczególnie własnym – myśleć, jak spokojnym i wygodnym chcielibyśmy je sobie wyobrażać.

Tytułowa „krawędź” pojawia się w wierszach nader często, czasem niespodziewanie – i wtedy najbardziej wydaje się dotkliwa, bo uświadamia nam, że życie to właściwie ocieranie się o krawędzie wszelakie, o końce chwil, istnień, rzeczy...

Tytułowa „krawędź” wrzyna się w czytelnika trafnością myśli, życiową prawdą – „nam wciąż się wydaje że pustka nie istnieje”... Uświadamia, że chociaż próbujemy się cofać znad (przeznaczonej nam?) krawędzi i „wdrapujemy się na wierzchołek sensu”, by ułożyć życie według własnych zasad, i tak, od jego początku, „dojrzewamy do krawędzi” – tej ostatecznej, której nijak nie da się uniknąć, gdyż „trucizna czasu”, wstrzyknięta przez Stwórcę, działa.

Podmiot liryczny w swojej dojrzałości zdaje się doskonale dostrzegać tę „bezwzględną geometrię życia”, a przy tym doceniać możliwość wędrowki po łuku życia i osiagania jego zenitu, ale również potrafi zachować z przebytej już drogi wspomnienia minionych radości. I coś stąd, że nawet siedząc, idziemy ku śmiertelnej krawędzi, skoro „miałem szczęście być wczoraj”; przecież każdy, nawet jeśli go już nie ma, „jest na twardym dysku wszechświata”.

Widmo krawędzi nie przeszkadza podmiotowi lirycznemu w spokojnej (w miarę) wędrowce „zwykłą koleją rzeczy”, w układaniu kalejdoskopu codziennych drobnostek.

Miłość – złożona jak oko pszczoły i sny – kojące spotkanie z tym, co było, tworzą obrazy pozwalające na chwilę zapomnieć o „gilotynie początku i końca”, by móc skupić się na chwili, „ziarenku wszechświata”, które uczynił Bóg, stworzył jak geometryczny punkt.

Obrazów poetyckich rysowanych słowami można by wierszach Stefana Pastuszewskiego znaleźć jeszcze wiele. Ale po coż wskazywać je wszystkie? Niechże czytelnik sam sięgnie po tomik i spróbuje zbliżyć się do krawędzi, niech sam doceni, że „jeszcze jest po naszej stronie”. ♦

Stefan Pastuszewski: „Na krawędzi”, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2024

Laura Alszer ● Maria Balcer ● Jolanta Baziak ● Radosław Bicz ● Martyna Antonina Cicha
Franciszek Ciereński ● Dorota Czerwińska ● Zbigniew Dąbrowski ● Zbigniew J. Derda
Czesław Dawidowicz ● Dariusz Filinger ● Szymon Florczyk ● Igor Frender
Elżbieta Grabosz ● Alicja Patey-Grabowska ● Jacek Jaszczyk ● Stefan Jurkowski
Jacek Kasprzycki ● Julia Kłoda ● Marian Kujawski ● Katarina Lavmel ● Marcin Lenartowicz
Piotr Łączyński ● Magdalena Łubkowska ● Jan Wojciech Malik ● Wiesław Marcysiak
Adam Michalak ● Maciej Skomorowski ● Angelika Szelągowska-Mironiuk
Janusz Orlikowski ● Bronisław Pastuszewski ● Stefan Pastuszewski
Aleksander Pietraszunas ● Marek S. Podborski ● Magdalena Podobińska
Magdalena Połczyńska ● Amelia Pudzianowska ● Aleks Rafalski ● Artur Szczesny
Czesław Sikorski ● Gregory Spis ● Jerzy Stasiewicz ● Jakub Tontarski ● Stanisław Topaz
Mateusz Wabik ● Paweł Wacek ● Juliusz Wątroba ● Iwona Orzechowska-Wiater
Leszek Wierzchowski ● Paulina Wojciechowska ● Grażyna Wojcieszko
Tadeusz Zawadowski ● Grzegorz Zientecki



Ośrodek Szkolenia Kierowców AGORA-MIRAŻ

Mecenas Bydgoskiej Kultury

www.naukajazdy.bydgoszcz.pl

- ♦ Szkolenie w zakresie przewozu osób i rzeczy
- ♦ Kurs ADR - przewóz materiałów niebezpiecznych
- ♦ Pracownia psychologiczna

Biuro czynne:

poniedziałek - czwartek 8:00 - 19:00

piątek 8:00 - 16:00;

sobota i niedziela 9:00 - 13:00

ul. Gajowa 32

tel. 052 342 34 96

tel. 052 348 98 23

KATEGORIE

A, A₁, B, B₁, C, D, T,

E do B, E do C

Fundatorzy Akantu

Paweł Banach	Paweł Kuszczynski
Wojciech Bieluń	Krzysztof Konecki
Andrzej Bogucki	Piotr Łączyński
Maria Magdalena Człapińska	Maria Nowakowska
Zygmunt Dekiert	Jerzy Nowotczyński
Piotr Dmochowski	Jan Organ
Leszek Droszcz	Barbara Orlikowska
Jakub Stanisław Domoradzki	Teresa i Bronisław Pastuszewscy
Mateusz Dworek	Grzegorz Pełczyński
Andrzej Gierach	Roman Rzucidło
Jerzy Cyryl Grupiński	Andrzej Sepioł
Krzysztof Gołębiewski	Janina Sokołowska
Eleonora Górka	Grzegorz Spis
Katarzyna Grażyna Jeziółkowska	Jerzy Stasiewicz
Ryszard Jacek Juszczyk	Krzysztof Stepień
Wojciech Karpiński	Marek Szulakiewicz
Piotr Bartosz Konopnicki	Elżbieta Vetter
Olga Lalić-Krowicka	Krystyna Wojciech-Ratajczak
Elżbieta Kujawa-Adamiec	Joanna Zientecka
Henryk Kusek	

Instytut Wydawniczy
„Świadectwo”

oferuje usługi edytorskie

w zakresie:

- ☐ redagowanie,
- ☐ korekta,
- ☐ opracowanie graficzne,
- ☐ skład komputerowy,
- ☐ druk

książek oraz innych tekstów literackich, publicystycznych, naukowych i urzędowych.

www.akant.org



Redaguje kolegium:

Jolanta Baziak – redaktor naczelna
Stefan Pastuszewski – sekretarz redakcji
Roman Sidorkiewicz – redaktor
Marek S. Podborski – redaktor działu poezji
Juliusz Rafeld – kierownik działu imprez
Malwina Witucka-Krygier – redaktor techniczny
Wojciech Hetman – redaktor wydania internetowego
Sławomir Krzyska – redaktor
Aleksandra Lewek – redaktor

Wydawca: Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych

Adres redakcji: ul. Dworcowa 62/1
85-010 Bydgoszcz, tel./fax 052/321 33 71
✉ e-mail: akant24@wp.pl
www.akant.org

Konto:

Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych
Bank PEKAO SA I Oddział Bydgoszcz
03 1240 1183 1111 0010 0229 1025
Druk: MAGENTA, tel. 052/328 72 77
85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2

RADA REDAKCYJNA:

Rafał Berger, Marek Pietrzak – przewodniczący,
Wojciech Reszka, Tadeusz Pikul

Nakład 2 000 egz.

